

Urszula Koziol

ZGAGA

DYPTYK

OSOBY:

PROFESOR, znakomitość, bywały w świecie; lat około sześćdziesięciu

ZOFIA, jego nieco młodsza żona pozostająca w kraju

AGA, przyjaciółka Zofii z czasów wojny

IZA, pisarka, przyjaciółka Zofii

PANI WALA, matka Zofii, niegdysiejsza rewolucjonistka

KSIĄDZ, dostojnik kościelny w cywilu

LEL }
POL } bracia syjamscy; Lel jest od niedawna mężem Agi

WOLEK }
MIECIU }
STASIU } wysocy urzędnicy, mają około czterdziestki

LAUREAT, około siedemdziesiątki, humorzasty pisarz, nagradzany

HANIA, sekretarka Laureata

NOSZOWI, pacholeta — świta Laureata,

PAN IŻ, emeryt ze starego portfela,

LAS, fizyk, psychicznie chory,

ŚWIATOWID, niegdysiejszy partyzant, psychicznie chory

A }
B }
C } trzech młodzików bawiących się w patrolowanie i w ogóle w wojsko

EWA }
KRYSIA }
MAREK } trójka młodych kontestatorów, bawią się w teatr

KRZYŚ, młody poeta

LUBA }
WIERA }
MICHAŁ } troje znanych aktorów (w spektaklu o Bułhakowie)

ŚWIETLIŚTE ZŁUDY, grupa pantomimiczna

CZEŚĆ I

Scena I — Na rozdrożu

Z głębi przyciemnionej przestrzeni wylaniają się dwaj bracia syjamscy zwani Lelum-Polelum, czyli Lel i Pol; idą jakby byli przytuleni do siebie. Lel przyrasta lewym biodrem do prawego biodra Pola. Środkową nogawkę mogą mieć wspólną. Gdy przysiadają na leżącym na rozdrożu kamieniu, Lel zapada w krótką drzemkę. Z przeciwnej strony pojawiają się we mgle Świetliste Złudy, zaczynają wabić ku sobie tańcem braci, ale kiedy Pol wyciąga ku nim ręce, pierzchają. Na rozjaśniającej się scenie pojawia się w głębi figurka Światowida. Za sceną słychać — ale zawsze w tle i jedynie jakby dla zamarkowania miejsca i czasu akcji — odgłosy zająć ulicznych.

Lel i Pol mają około czterdziestki, Pol bardziej jest zadbany, ma uduchowiony wyraz twarzy, Lel jest jego przeciwieństwem.

POL Śpij, obyś spał jak najdłużej, bracie. Nic się nie bój, będę czuwał i nad twoim snem i nad ciemnością, która kłębi się we mnie także z twojego powodu. Oprzyj się o moje ramię, tak... ja z pewnością nie zasnę teraz. Byłoby istnym marnotrawstwem, Lelu, spać akurat wtedy, kiedy i ty śpisz. To jedyne minuty, kiedy mogę być sam... rozłączony z tobą.

Zgiełk za sceną nasila się.

POL Gotowi jeszcze zbudzić go, a ja godzinami czatuję na tę szczęśliwą chwilę, kiedy Lel zdrzemnie się i wreszcie będę sam. Być tak przykuty na zawsze do drugiego człowieka, być z nim zrośnięty na wieki, to dopiero jest piekło. I nie ma ucieczki od tego ani wyzwolenia. Jesteśmy jedną poczwarą o dwu głowach... Jesteśmy skazani na siebie, nierozłączni, przekłeci i tacy śmieszni w tym swoim kalectwie, w którym nic ale to nic nie ma wzniosłego.

LEL *(budzi się)* Co, mówiłeś coś, Pol?

POL Nic, nic wielkiego. Myślałem, Lel, wtedy, wiesz, że kiedy zaangażuję się w te sprawy, uda mi się wreszcie zapomnieć o swym kalectwie, jednakże...

LEL Zbyt krótka drzemka, bracie.

POL Tak, Lelu, nazbyt krótka.

LEL Ale krzepiąca.

POL Prawda? Też to zauważyłeś?

LEL Co ty znów masz na myśli! Mówię o swoim śnie, który tu był dopiero co!

POL Aaa.

LEL Znów paliłeś, śmierzdzisz tytoniem, nie kłam!

POL Coś ty, nie pamiętam już, kiedy trzymałem papierosa w zębach.

Obaj równocześnie wyciągają lusterka i równocześnie się czeszą.

LEL I co, Pol, znówu nie spałeś. Stracisz w końcu siły i zdrowie. Trzeba ci było także uciąć sobie drzemkę, za dużo myślisz, wiem, co ci chodzi po głowie, ciągnie cię tam, do „dyskoteki”. Ale to już rozdział zamknięty, pamiętaj. Daj se szlaban!

POL Ejże, może tylko nasz zakład introligatorski zamknięty?

LEL Tak czy tak doigrałeś się. Będzie teraz trzeba przestawić się na inną robotę, ja wiem? Aleś nabroił.

POL Tak wyszło. Miałem nadzieję, że kiedy włączę się w te sprawy, dostąpię jakiejś wspólnoty, wejść w ten porywisty nurt ich życia i zapomnę, wreszcie zapomnę.

LEL Takim jak my nigdy nie dadzą zapomnieć, wytkną palcem i tak.

POL Nie o nich myślę, o sobie. To ja chciałem o tym zapomnieć.

LEL Oni mają swój kłopot, a my swój. O tym nie da się zapomnieć.

POL Czasami myślę, że Bóg zesłał nas takich na świat, żeby innym przypomnieć, że ludzka egzystencja jest już wystarczająco zawikłana i nie da jej się zamknąć w jakiejś jednej płaszczyźnie, politycznej na przykład.

LEL Nie fantazuj, Pol, któryż Bóg wpadłby na tak szatański pomysł, żeby nas takimi stworzyć? Ale marnie coś wyglądasz, bracie: nic ci nie jest? Jakiś taki blady jesteś... czyś aby nie chory?

POL Wydaje ci się, zdrow jestem. Już piąty raz pytasz o to samo. Boisz się o siebie?

LEL Miałbym się nie bać? Nie podoba mi się, że marnie wyglądasz.

POL Chociaż nie spałem, zwidziało mi się ot, tam, coś dziwnego.

LEL Tam? Jak zwykle na rozdrożu tkwi tam od lat jakaś figura; czy nie Światowida? To przypomina mi, że Aga skarży się, że prześladowuje ją jakiś miejscowy przyglup, dawny kombatant, szurnięty jakby. Też zwą go Światowidem.

POL Tak, wiem. Ale to było inne, nowe, wabiące... i prawie bez związku z rzeczywistością, albo w związku z nią rozluźnionym.

LEL Gadaj po ludzku, albo nie gadaj wcale.

POL Chciało się tam biec, chciało się w tym zanurzyć, takie to zdawało się ożywcze.

LEL Pewno też jednak spałeś. Aaaa, zdałoby się coś wrzucić na ząb.

POL Przestałbyś, doprawdy.

LEL Uważasz, że wstyd mieć apetyt w chwili, kiedy tamci się akurat naparzają?

POL Wciąż to żarcie, siorbanie. Mdli mnie od tego.

LEL Masz się za coś lepszego, ty? O mały włos wylądowałbyś w kiciu, tak, tak. Nie ja, „czerep rubaszny”, tylko właśnie ty, delikacik, „dusza anielska”, ha, ha! A teraz nie w smak ci, że ja mam chętkę na żur, czy tam pierogi z kapustą?

POL O, ty masz apetyt na wszystko. A zaraz potem masz zgagę, bo to ci szkodzi.

LEL Delikacik, „dusza anielska”! Twoje towarzystwo staje się za wytworne dla mnie, słyszysz? Nie pasujemy do siebie, boś ty nudziarz i mękoła. No, ale co tobie! Siądźmy lepiej, co?

POL (*słabo*) Czego się wściekasz, mówiłem tylko, że kapusta ci szkodzi.

LEL Pol, musisz iść do lekarza. Nie podobasz mi się, bracie. Lepiej ci?

POL Głupstwo przecież... chwila słabości, zaraz minie.

LEL Co ja mam z tobą! Ja lubię kwaśne, ty praśne, ja miękkie, ty twarde, ja mokre, ty suche, a idźże, idźże! Przestań się wtrącać do mego brzucha, to jest mój brzuch! Nie twój. Na szczęście mam przynajmniej prócz własnej, osobnej głowy, także swój własny, osobny brzuch.

POL Jednakże kiedy cię zabolí, wtedy to jest także i mój brzuch.

LEL Człowieku, a co dzisiaj jest zdrowe? Mielśmy tej wiosny zdrową sałatę, zdrowy ser i rzodkiewki, a co z tego wyszło? W jednej chwili po Czarnobylu wszystko to stało się diabła warte i nawet na gnój się nie nadaje.

Odgłosy petard.

LEL Przestań nasłuchiwać, już się nawojowałeś, omal nie wylądowałeś w kiciu. Dla nas to już rozdział zamknięty.

POL Rozglądam się za Agą.

LEL Właśnie... czemuż się spóźnia!

POL A ta pogoda... jakże piękna!

LEL Kto by pomyślał, aż wierzyć się nie chce.

POL Powiedz, z którego miejsca właściwie sączy się ten jad w takim ślicznym powietrzu. Może akurat teraz trafia nas ten niewidzialny kolec i przeszywa, a my nawet nie wiemy o tym.

LEL Przestań, jakby nam jeszcze było mało, że jesteśmy taką pokraczną figurą, kukłą odrażającą... i że to nasze życie całe przez to takie pokraczne i nikczemne.

POL Nie mów tak, Lel, nie myśl tak. Masz przecież Agę teraz.

LEL Sam nie mogę uwierzyć. Boję się, że się zbudzę i okaże się, że to był tylko sen. Czemuż się spóźnia, powinna już tu być!

POL Te rozruchy, może musiała nałożyć drogi?

LEL A ty znów blady, masz zimny, kroplisty pot na czole, co ci, u licha, dusisz się?

POL Już, już... mija; ale teraz tak mnie morzy od środka, jakbym miał zapaść w sen bez dna.

LEL Przestraszyłeś mnie, co wyprawiasz! Śpij, oprzyj się... wykończysz siebie i mnie, jak tak dalej pójdzie, gdzie masz rozum? Wiesz chociaż, co by się ze mną stało, gdybyś ty...

POL Wstrzymam się ze snem, aż przyjdzie Aga, wtedy będę mógł zostawić was samych... i może zasnąć.

Wchodzi Las, mężczyzna niespełna rozumu, przybrany w galązki.

LAS Ginę, zdycham, pomocy, jestem las. Widzicie ludzie? Usycham, sypię się, duszę, krztuszę, jużem w agonii... aaaa!

LEL A ja jestem wieprz skrzyżowany z wiewiórką... i nawet Boga nie proszę o pomoc; co ty na to?

LAS Tyś z mego stada... zwierzę... poznaję: więc jednak żyjesz!

LEL Coś ty, fiśnięty?

POL Daj spokój, to ten fizyk, któremu coś rzuciło się na mózg. Ze zgryzoty pono. Usunięty z pracy, czy coś.

LAS To koniec, koniec! Wykończyli mnie drwale, czarci, drzazgi lecą, dranie... trocinki ze mnie, o, tycie, kap, kap... jeszcze trują. Las byłem, mówię, bór przepastny... precz, potworze! Mały motyl przyniósł mi brunatną zarazę w pyszczku włośchatym, ale dopiero dobił mnie promień... tyłem odwrócony. Czarny. Kopcł czarno.

LEL Musiał zdrowo rąbnąć się w ciemię.

POL Zostaw go, siedział. Zdaje się, zwinęli go z powielaczem i bibułą... ale wpięrow się ukrywał w piwnicy.

LAS Hurlu-hurlu turbulence... kurbalanse... To koniec, żuchwo drobna i nieustępliwa. Nie dość, że ty, jeszcze i on przeszył mnie na wylot.

LEL Ot, i masz politykę. Patrz, co polityka zrobi z człowieka!

LAS Nagły grot czarnego światła przenika mnie do szpiku kości... biada, to ten? Las byłem, bór, teraz próchno... perché!

LEL Ostatnimi czasy, co nie, Pol? Coraz więcej widzi się u nas przyglupów, nawet tak wykształconych jak ten! Sieknięty fizyk. Widać tacy, co mają jedną tylko głowę, nie wytrzymują tego stresu... A nas, że mamy aż dwie głowy, żaden inny kłopot już się nie ima. Dobrze mówię? No, oprzyj się o mnie, Pol i śpij, Aga już pewno nie przyjdzie. Śpijże, człowieku; jeszcze mi zgaśniesz, jak będziesz się tak umartwiał i co wtedy? Jezu! Co wtedy...

LAS *(potrzęsa sakwami, w których dzwonią butelki)* Te świnię wszędzie śmieć, trują, perché, perrrrché...ché! *(wybiega)*

Scena 2 — Kłótnia małżeńska

Profesor i jego żona Zofia kłócąc się, zmierzają przez młody zagajnik (albo od strony widzów).

ZOFIA Ale jak mogłeś w ten sposób potraktować Agę!

PROFESOR Daruj, Zosiu, wybac, ale nie pozwolę, żeby w pokoju Lusi...

ZOFIA Lusia ma w nosie ten pokój, urządziła się w Stanach.

PROFESOR To ja urządziłem ją w Stanach.

ZOFIA I gwizdże na paniński pokój w tatusiowej daczce we Wszędobieży, w rządowym kwartale zresztą, bo daczę dali tacie poprzedni prominenci za poprzednie zasługi.

PROFESOR Proszę bardzo, chcesz się kompromitować, krzycz głośniej.

ZOFIA Może nieprawda? Raz byłeś po tej stronie, raz po tamtej. Ale zawsze przy prezydialnym stole: masz głowę!

PROFESOR Dałem jej w końcu ten pokój, a że zaznaczyłem, że to pojedyńka i w żadnym razie nie małżeńska sypialnia?

ZOFIA Wstyd, i to akurat do Agi!

PROFESOR Oczywiście... ty i Aga, Nieugięte. Niezlomne. Od zawsze. To wasze AK, ten wasz Stalin, opór, UB czy też bezpieka. Zawsze nieomyłne i nieugięte. A ja zbłądziłem, tak! I miałem odwagę głośno przyznać się do błędu. I zostałem z a - a k c e p t o w a n y przez najzagorzalszych liderów opozycji... masz mi to za złe?

ZOFIA Ależ nie krzycz tak, Jarosławie.

PROFESOR Jedyne ty i twoja matka, ta niegdyśjsza ciotka rewolucji, nadal macie mi to za złe.

ZOFIA Moja matka wyszła z tego o wiele wcześniej, niż ty.

PROFESOR Tak, tak, tak. Była towarzyszka Wala. Zawszeć to — towarzyszka Wala!

ZOFIA Tkwiłeś w tym do ostatka niemal. I zamiast bodaj przez chwilę stanąć dyskretnie z boku, jak nakazuje elementarna przyzwoitość, bachnąłeś z hurmem na oba kolana i z miejsca uznałeś się za bezpartyjniejszego od wszystkich bezpartyjnych.

PROFESOR Daruj sobie, dobrze? Te komentarze. Ty, twoja matka, Iza, Aga i kto tam jeszcze; za kogo wy się uważacie, u licha, z tymi waszymi komentarzami: za chór tragedii greckiej!

ZOFIA Z naszymi doświadczeniami tu? Mamy prawo.

PROFESOR Prawo, prawo... Człowiek ma prawo także przejrzeć i zmienić poglądy.

ZOFIA Ale ta twoja żarliwość... A jak przychodzi co do czego, zwijasż zagłę i przyskasz w świat, bo mimo rzekomej spontaniczności, takie właśnie przytomne masz układy. Albo dla odmiany udajesz roztargnionego. Jak długo można jechać wyłącznie na dobrej opinii i na strojeniu właściwych min!

PROFESOR Do głowy by mi nie przyszło, Zosiu, że takie masz o mnie zdanie; po wszystkim, co zrobiłem tu! Nie do wiary, ta twoja agresja dziś. Wy tu wszyscy jesteście chorzy! Coś sparszywało w was, w takim nieprzewietrzonym pudle... to się mści. Bo siedzicie w pudle — wszyscy! Wszyscy zapudłowani, to cuchnie!

ZOFIA Tak, siedzieliśmy w pudle. Nie wszystkim było dane przewietrzyć się w świecie. Więc skoro nie mogliśmy się swobodnie poruszać, zatem tak, oczywiście, zamknęli nas w pudle; wszystkich! I wszyscy siedzieliśmy! Parszywieliśmy w pudle!

PROFESOR Tak, nie udało wam się przewietrzyć i zaczęło śmierdzieć stęchłą. Taki słodkawy, mdlący zaduch, jak tylko wjeżdża się do kraju, uderza w nozdrza. Mdlący, słodkawy.

ZOFIA I zgadujesz od razu: tu nie zostało coś przewietrzone.

PROFESOR Coś podobnego wionie czasem od pokoju zmarłego... z kwiatów przy nim. Za dużo tych kwiatów przy nim zawsze. Żył bez kwiatów, obywatel się bez kwiatów, po co nagle aż tyle kwiatów!

ZOFIA Taki słodkawy, mdlący zaduch, powiadasz, uderza w nozdrza.

PROFESOR I zgadujesz od razu: tu nie zostało coś przewietrzone. Coś jakby przejadło się wam, choć nie chcecie się do tego przyznać. Ale macie od tego zgagę?

ZOFIA Brawo, brawo, cóż za trafne diagnozy!

PROFESOR Zasklepiliście się w tej swojej wyjątkowości, pławicie się w tej swojej nieprzejednaności, w cierpiętnictwie — i macie od tego zgagę.

ZOFIA Ty nie masz jej, wy tam nie macie zgagi, bo i po czym? Im nam tu było gorzej, tym większych splendorów zażywaliście w świecie. Tu stawiało się na jedną kartę swoje kariery, los swoich książek czy kontaktów ze światem, szamocząc się ze stresu w stres przy okazji każdego podpisu składanego pod protestem... a wam w to graj. Wy tam byliście przez to jeszcze bardziej na widoku, odbieraliście te honory za tych, którzy tu się dusili w zatechłym pudle.

PROFESOR Całkiem zwariowała.

ZOFIA A czy który upomniał się o taką Izę choćby, bo nie słyszałam. Choć wiedziałeś, że wypuszczają z niej powietrze a to odmową paszportu, a to zatrzymaniem książek.

PROFESOR Jeszcze i ta twoja Iza. I Aga. Te twoje kumy, daj spokój. Nic im nie jest.

ZOFIA Aga to dzielny i prawy człowiek.

PROFESOR Wiem, wiem, AK, i tak dalej, UB i tak dalej, nie czujesz jednak, że to byłoby obrzydliwe i głęboko niesmaczne, gdyby Aga z twym swoim dwugłowym potworem zamieszkała akurat w pokoju Lusi? Mierzi mnie to stadło, bardziej zwierzęce niż ludzkie, zrozum, przecież to okropne.

ZOFIA Ciszej, na Boga, przecież oni właśnie tam idą. Hop, panie Lelu! Nie usłyszał.

PROFESOR Lelum-Polelum... Dajże spokój. Jakże Aga mogła porwać się na tak nieobliczalny krok!

ZOFIA Aga? Zawsze poświęcała się bez zastrzeżeń. Zresztą oni, a zwłaszcza Pol, jest subtelny, prawdziwie anielska dusza!

PROFESOR Wyszła jednak za Lela, czyli za ten „czerep rubaszny”, jak sama mówiła? Wracając jednak do Lusi, nie pozwolę...

ZOFIA Lusia gwizdże na ten pokój, gwizdże na ten kraj. To ty załatwiłeś Stany dla córuchny.

PROFESOR Masz pretensje? No wiesz!

ZOFIA Z dala od nas, z dala od wszystkiego co tu się dzieje, co nas nęka i boli. Od kiedy w tym kraju bułka z szynką była ważniejsza od poczucia więzi, od elementarnego poczucia wspólnoty z własnym narodem, który akurat przechodzi bolesny kryzys i to kryzys w kilku płaszczyznach naraz!

PROFESOR To słowa twojej matki, poznaję po ostrzu; tak, to cytat z jej komentarzy. Chóry greckiej tragedii: powariowali! Więc wołałabyś, żeby nasza córka zmarnowała swoje zdolności, żeby zmarniała tu w kiciu jakimś, bo tak by się skończyło, bo w gorącej wodzie kąpana!

ZOFIA Ale nie po tatusiu!

PROFESOR Więc dla widzimisień takich jak ty miałaby tu chodzić w podartej bieleźnie, trwonić czas i energię na próżne wystawanie w kolejkach po wszystko, na szukanie waty i tym podobnych waszych kryzysowych, niepojętych wprost w cywilizowanym świecie bzdur!

ZOFIA Jaki Europejczyk!

PROFESOR Miałaby tu na całe życie nabawić się kompleksów gorszości, tyrać za grosze i latami skamlać o mieszkanie, miałaby pokracznie jękać się w obcych językach, a wszystko po to, byleby teraz pospólnie dreptać z grupką rówieśnych zapaleńców z jakąś żalosią — prawdopodobnie nawet dozwoloną przez kogoś tam z góry — bibułą, od której i tak — biorąc rzecz globalnie — nic tu się zmieni! Przecież to lufcik, jedynie lufcik wkalkulowany w całą tę strukturę, lufcik, którym ma nieszkodliwie wyparować bulgocząca od wrzenia młoda energia, która musi się wyszumieć, o czym wie nawet dziecko! W tej sytuacji narażać się na odsiadki, rewizje, na bezsensowne przesłuchania i stresy, daruj! Byleby dogodzić matce, babce i sąsiadce, które kiedyś tam działały w konspiracji i rade by tej sztuczki wyuczyć swe dzieci. Tak, powiem nie i nie! Myśmy już się czymś uwyraźnili w życiu, my to co innego, ale te dzieciaki? Świat nie zaczeka na Polskę. Świat nie zatrzyma się i nie zaczeka, żeby nasza córka mogła dopędzić swoich rówieśników normalnych i z normalnych krajów w normalnym umysłowym i duchowym rozwoju. Tak, tak, tak, to ja urządziłem ją w Stanach. Bo wiem, bo widzę, bo znam świat. Ona musi mieć równy start ze swoimi rówieśnikami, jeśli ma do czegoś w życiu dojść; musi mieć, choćby nawet...

ZOFIA Choćby miała nawet nigdy tu nie wrócić!

PROFESOR A tak. Choćby już miała tu nie wrócić.

ZOFIA Jezus, Maria, jak możesz tak mówić!

PROFESOR Zosiu, no, uspokój się. Takich posad, jeśli już się je tam otrzyma, nie sposób tak sobie rzucić, zrozum.

ZOFIA Jezus Maria, usta ociekały wam patriotyzmem przez lata, a teraz...

PROFESOR Ale to jest nasz narodowy kapitał umieszczony w zagranicznych bankach. Ta właśnie młodzież polska normalnie rozwijająca się w świecie, dorabiająca się nie tylko grosza! Sławy, stanowisk, wiedzy z pierwszej ręki, w najlepszych laboratoriach czy klinikach wyposażonych w najwłaściwsze instrumenty. To przecież kiedyś w ten czy inny sposób zaczniesz procentować. I to kiedyś tam jednak do nas w jakiejś formie wróci. Tymczasem ty, a zwłaszcza twoja matka...

ZOFIA Przyznaj się... ona jest twoim ziarenkiem grochu z bajki o księżniczce, ta moja stara matka. Zawsze cię uwiera. Nawet przez dziesiątki puchowych materaców, jakie ci ściele, czujesz ją, tę fasolkę, zasuszone, twarde ziarenko, tę moją biedną, starą, oglupiałą matkę. Aż tak ci dolega?

PROFESOR Przesadzasz jak zwykle. Pójdę się przejść, muszę ochłoniąć po tym, co wygadywałaś. (*oddala się*).

ZOFIA Jeśli spotkasz kogo ciekawego, zaproś na nasz jutrzejszy domowy spektakl. Będą ci aktorzy, wiesz... (*do siebie*) Powinnam mu była powiedzieć otwarcie, że go porzucam, że odchodzę do innego. Boże! Chyba mi to nie przejdzie przez gardło. Jak on to przyjmie! A zamiast tego wszczynam bezsensowne kłótnie, co ma do tego Aga, Iza, Lusie... ja odchodzę od niego, rzucam go, co z tym począć, jak, kiedy powiedzieć!

Scena 3 — Na deptaku we Wszędobieży

Scena składa się z luźnych epizodów. Na pierwszym planie deptaka rozgrywają się główne rozmowy, w głębi widzi się spacerowiczów tworzących ruchliwsze tło. Szepoty, śmiechki. Pani Wala kursuje tu i tam w fotelu na kółkach i z jakąś absurdalną wręcz robotką w ręku.

Z pojazdu pozostającego poza lewą stroną sceny wysiada pan Wolek, dygnitarz lat około czterdziestu: hiszpańska bródka, maślane oko — tego piło się wczoraj; głos protekcyjnalny, rozwlekły. Ręce (po uwolnieniu od bagażu) trzyma w pozycji niemal jak do pocałowania; figura krzepka, fryzura na jeża, idzie stąpając drobnym kroczkiem.

Zbliżają się doń dwaj rówieśni mu urzędnicy wysokiego szczebla, Mieciu i Stasiu; wysocy, w okularach, stroje wakacyjne; trzymają się na nieco ugiętych nogach, jakby chcieli nie zanadto przewyższać swego szefa — nawet wzrostem. Uwalniają go od bagażu, cofają się i kroczą tyłem ku stronie prawej.

STASIU i MIECIU Witamy, panie ministrze.

WOLEK Sie macie, chłopaki, co nowego we Wszędobieży, mów Mieciu.

MIECIU Bez zmian, panie ministrze.

STASIU Na szczęście bez zmian.

WOLEK Przynajmniej tu. Bardzo dobrze, że bez zmian.

MIECIU Ryby biorą, panie ministrze.

STASIU Aura owszem, panie ministrze.

WOLEK Oj, to, to, trafiliście we właściwy ton. Tego właśnie mi trzeba, żdziebko odsapnąć. Ale nie przesadzajcie z protokołem, ja tu prywatnie, i co powiesz, Stasiu?

MIECIU Stasiu raków nałapał, panie ministrze.

WOLEK Ejże, nie mów.

STASIU Co tam tego, ledwo trzy raki.

WOLEK Spiekleś raka, znaczy, a powód?

Urzędnicy wybuchają chętnym śmiechem.

WOLEK Nie trzeba, nie przeszkadzajcie sobie, chłopaki, ja tu całkiem prywatnie zajeżdżam, żdziebko odsapnąć, nie samą polityką, co? Żyje człowiek.

MIECIU Ponoć gorąco było w stolicy, panie ministrze?

WOLEK Te narady, te bankiety, te różuchy, chłopaki, co wam będę mówił.

STASIU Znów były rozruchy!

WOŁEK To tak nawiasem mówiąc.

MIECIU Słowem dali w kość.

WOŁEK Zmęczyli nas... ale i my ich zmęczymy. Mamy czym.

STASIU i MIECIU Znów narady, znów bankiety, znów rozruchy...

WOŁEK Słowem dali mi w kość. A jeszcze dwaj dyrektorzy głównych departamentów akurat na urlopie we Wszedobieży!

MIECIU Czuło się, że nas nie ma?

WOŁEK Oj, czuło się, czuło... zwłaszcza kiedy wczoraj, wicie, taką baterię wystawili na stół.

Chętnie śmieją się.

PANI WALA Ej, synku, ty tam... głuchyś? Do ciebie mówię. Czy mnie oko myli? *(wskazuje Wołkę)* Do ciebie mówię: czyżes ty? Nie Wołków aby? Tak ci z oczu patrzy, jakbyś był z Wołków.

WOŁEK *(traci rezon, naburmuszony)* Co to, dyrektorze kochany, że jak? Ona do mnie z tym?

PANI WALA Pytam, synku, czyś nie z Wołków. Wykapany Adaśku. Cholewki sma-lił. Tyś syn Adaśka, czy może już jego wnuk?

WOŁEK Diabli nadali, stare babsko, też coś? Dyrektorze kochany, zróbże coś, omiń, wymini, zasłoń... chyba potrafisz?

MIECIU *(konfidencko)* To pani Wala.

STASIU *(z płochliwym respektem)* Towarzyszka Wala.

WOŁEK Co za Wala, jaka Wala, skąd!

MIECIU No, ta słynna towarzyszka Wala, co to wiecie...

WOŁEK Aaa... No, ale w takim razie to już była towarzyszka.

MIECIU Ale nabyła się, kogo też taka nie zna! Gotowa biedy napytać.

WOŁEK Istotnie, minister Wołek jestem, jednakże nie widzę związku. Dawne sprawy...

PANI WALA Jakie dawne, skąd dawne? Mów, umieram z ciekawości, który z nich cię posadził na fotel: tatuś, teść czy szwagier.

WOŁEK Nie widzę związku... Ale, ale, zięć pani, ten profesor jak-mu-tam?

MIECIU Pan Jarosław. Niegdyś filar naszej egzekutywy.

STASIU Czołowa postać w opozycji.

WOŁEK Właśnie. Wrócił już chyba zza granicy, bo mi przed chwilą mignął, czy nie na stacji? Z jakimś bodaj dostojnikiem kościoła w cywilu. Co to się porobiło z ludźmi.

PANI WALA Ma zmysł do przydziałnych miejsc. O, Jarosław, to człowiek sukcesu, on innej roli od losu nie przyjmie, musi być wygrany. Ma to wypisane na czole: sukces. Tacy nie nadają się na męczenników czy ofiary. Ale ty synku... skąd to maślane oko? Tankujesz jak Adaśku. „Towarzysze po dysze, towarzyszeki po dwie dyszki”, mówi się tak jeszcze? „I ćmach, ćmach, pękło sześć flach!”. Wam też tego pewnie się piło wczoraj po wszystkim.

WOŁEK Po czym, po czym! Co za jakieś przymówki? Żeby do mnie tak obcesowo... No, dyrektorze kochany, zróbże coś.

MIECIU i STASIU *(markotnie)* Tak jest, ale co począć...

PANI WALA Tak, tak, tankowało się całą noc, znam się na tym.

WOŁEK *(z determinacją)* Do domu, babciu.

MIECIU i STASIU To, to, pewno szukają was, martwią się.

WOŁEK Właśnie. A i mnie śpieszno. Pani wybacz.

PANI WALA Do dziś kurzy ci się z czupryny, to ci zamąca obraz. Pewno dlatego mówią, żeś łobuz. Łobuz jesteś?

Tę rozmowę podsłuchuje pan Iz, emeryt starego portfela, który prowadząc wysłużony rower, obladowany wiktualiami pierwszej potrzeby to wylania się, to cofa, nie mogąc się zdecydować, czy ma podejść.

WOŁEK Diabli nadali... coś podobnego! Żeby do mnie tak? Fúj, formalnie wiedźma! Skreślić, zaraz mi skreślić tę babę. *(oddala się)* Wprawdzie już nie ma czarnych list...

MIECIU Jakże tak... mamy działać bez czarnych list?

WOŁEK O n nie życzy sobie. Ale...

STASIU Znajdzie się sposób, panie ministrze.

MIECIU Wypuścimy sukces z człowieka sukcesu, panie ministrze?

WOŁEK Czemu nie? Nawiasem mówiąc, jak czarnych list już nie będzie, ufundujemy listy popielate!

Wybuchają chętnym śmiechem, oddalają się od pani Wali pochłoniętej całkowicie jakimiś innymi myślami.

PAN IŻ Dobrze czasami być starą babą, droga Walu, takiej wszystko ujdzie płazem. *(ustawia objuczony rower koło jej wózka)*

PANI WALA Za młodu też się nie dekowałam, odsiedziałam już swoje.

PAN IŻ Tyż racja. Co to ja chciałem, iż, iż... Nie omieszkała mu pani powiedzieć, iż...

PANI WALA A żebyś wiedział, panie Iż, że nie omieszkałam.

PAN IŻ To dobrze, czasami rzecz trzeba prosto z mostu w oczy, śiz... a to łobuz! Ty łobuzie! Będziesz mi tego owego i tak dalej, iż...

PANI WALA A on mi na to, żem wiedźma... niby ja! Ale, co robić przy takim u nas zdominowaniu najzwyczajszego słowa, jak małwia Iza, przy takim magicznym, ba, zabobonnym do niego stosunku, jak gdyby było dynamitem, piekielną jakąś, ale zmyślnie zamaskowaną chytrymi sztuczkami bombą, którą na wszelki wypadek najlepiej natychmiast rozbroić i trzymać pod strażą w skrzyni zatrzęsniętej na siedem spustów. Bo dlaczego w przeciwnym razie wstrzymałby druk obu książek Izy? Łobuz! Co zatem ta starszawa i nieco już dychawiczna pani, zbrojna ledwo w krótki długopis i świstek zwyczajnego papieru, co ona niby ma robić, jak ma wykrztusić z siebie linijkę wiersza tym swoim cichutkim, ledwo-ledwo dosłyszalnym głosem, żeby natychmiast nie wywołać jakiegś doprawdy zdumiewającej paniki wśród was, zbrojnych w wieloraką aparaturę możliwości ucisku. Najwidoczniej musicie brać tę Iżę za jakąś paskudną wiedźmę zdolną rzucić zły urok na was samych i na wasze intencje. *(podnosi głowę znad robótki, rozgląda się)* I gdzież ten Wołek!

PAN IŻ Przecież poszedł już dawno!

PANI WALA Masz ci los, a ja sobie ułożyłam, co mu powiem, kiedy go tu spotkam. A co za farfocle pan wiesz tu, niech spojrzę.

PAN IŻ I... żeberka, takie firanki.

PANI WALA I to z frędzlami... Te okazy warto dać do muzeum, zostawić jakiś ślad dla przyszłych pokoleń, że tak nam się dostatnio żyło na starym portfelu.

PAN IŻ Co zrobić, pani Walu, stary portfel faktycznie jestem, aczkolwiek, zawsze przecież w pierwszym szeregu kroczyłem z myślą, iż... co to ja chciałem, kochana?

PANI WALA Iżby ład zapanował i pokój ludziom przyniósł zasłużony dostatek. Oraz wieczny spoczynek, amen. Wnuczka już panu nie gotuje?

PAN IŻ W Chicago, niestety. Wnuczka w Chicago.

PANI WALA Jakże to, brzemienna? W taką podróż?

PAN IŻ Otóż właśnie dlatego, że brzemienna. Niechże powije tam dzieciątko, może chociaż ono będzie mieć to obywatelstwo... to dzisiaj taki bilet wstępu do wolności, wszędzie.

PANI WALA Fúj, powariowali, jeszcze i ten dziadyga! Niech się wnuk wynarodowi, co? Za miskę soczewicy, hę?

PAN IŻ Wyrzedali my się, zapożyczyli, iż, iż... bo co mu po nas zostanie, więc chociaż niech ma to obywatelstwo... iż, iż...

PANI WALA Wszystkich wynarodowić za głupią bułkę z szynką.

Pan Iż kuli się, rad czmychnąć; Aga zbliża się, rozgląda.

AGA Pani Walu!

PANI WALA Ludzie krew przelewali za wolność tego kraju, dali się zamęczyć w obozach i kazamatach, a teraz...

AGA Szukam pani wszędzie, Zosia niepokoi się, mnie też pilno wyjść.

PANI WALA Patrz co z naszą Lusią, co z wnuczką pana Iż...

AGA Stało się coś?

PANI WALA Dla kogo wyście ginęli, biedni, wspaniali chłopcy z tamtych lat?

PAN IŻ Lepiej pójdę, iż...

PANI WALA A idź, przeklęty dziadygo, jedź do wnuczki, zejdź mi z oczu. I z serca.

Już nie mam serca do ciebie, ty, ty stary portfeli!

AGA Jakże można się tak podniecać, pora lekarstwo zażyć.

PANI WALA A co z twoją piersią, masz już wyniki?

AGA (*ostro*) Skąd pani wie! Nie przypominam sobie, żebym...

PANI WALA Ciii, nie chcesz, nie mówmy o tym więcej, myślałam, że dobrze ci zrobi, jak z kimś o tym pogadasz. Znam cię od tyciej.

AGA Nie wiem, o czym pani... fantazje jakieś. A wracając do tych scen tutaj — już nie ten wiek, żeby wojować...

PANI WALA A tyś mi za potulna. Jakżeś się mogła zgodzić na pokój Lusi z tym zastrzeżeniem, że bez męża?

AGA Przecież pani wie. Trudno o pokój, a my z Lelem i tak musimy mieszkać w dwu oddzielnych izbach.

PANI WALA Z Lelem-Polelem... taka z was para, że? Trudno. Zaskoczyłaś nas. Ci bracia syjamscy to nie na moją głowę. Coś właściwie chciała przez to powiedzieć?

AGA Każdy mówi mi to samo i każdy się dziwi... to i ja się dziwię! Może dzisiaj, zamiast miłować bliźniego, ludzie w głębi serca nim gardzą? Może łatwiej im dożyć w swym bliźnim potwora, niż udręczoną istotę, łaknącą naszego współczucia czy miłości... sama już nie wiem.

PANI WALA Musiałabym żyć z zamkniętymi oczami w jakiejś osobliwej ciemności, albo w oślepiającym zachwyceniu, żeby zrozumieć to, co mi mówisz. I żeby to zaakceptować. Znam cię od tyciej, tyciej! Ale skoro wolisz nie mówić, trudno. Choć czasem zdrowiej jest się przed kimś wygadać. Ten przyglup... no, ten w beretiku szafirowym, jak mu tam...

AGA Światowid?

PANI WALA Właśnie. Wciąż z tobą łązi? Zdaje mi się, znów widziałam, jak skradał się za tobą... słuchasz?

Z prawej strony ukazuje się Profesor z dostojnikiem kościelnym w cywilu, jeszcze nie widzi obu pań.

AGA Dość, dość, idźmy stąd szybciej, już nas tu nie ma. A po drugie — pani powinna się zacząć oszczędzać. Te słowne utarczki z profesorem, na cóż to, a Zosia potem się zamartwia.

PANI WALA Zobaczysz, puści go w trąbę, już niedługo, mówię ci. Ale, ale, czy to nie mój zięć właśnie kroczy tam z księdzem?

AGA Idziemy. Proszę jeszcze połknąć tę pigułkę i już nas nie ma!

PROFESOR (*delikatnie, ale stanowczo zabiera Księdzu bagaż*) Proszę mnie to zostawić, drogi księżu, głupstwo doprawdy.

KSIĄDZ Ależ panie Jarosławie...

PROFESOR Trzeba nieco odsapnąć, żeby набrać sił.

KSIĄDZ Taa, ździebko odsapnąć. Znów te narady.

PROFESOR Znów narady, rozruchy...

KSIĄDZ Taa, nie samą polityką, co? Żyje człowiek.

PROFESOR Ale, ale, i co z tą zakonniczką? Przerwali nam. (z irytacją dostrzega panią Walę) A mama po co tu? Znów? Proszę wracać do domu.

AGA (odwrócona, jakby nie chciała, by ją poznano) Właśnie wracamy.

PANI WALA Pochwalony... Przecież nie nie mówię? A co do tego Wołka — kiedy był czas poprzeć kogoś sensowniejszego, nie było chętnych?

PROFESOR Nie teraz, mamo, mam gościa i...

PANI WALA Łatwo pomstować. A trzeba było w porę poprzeć sensowniejszego. Im tylko bojkot w głowie. Ale my stąd nie uciekamy w świat, nie? My tu będziemy przecież dalej mieszkać? Tu, w kraju! Nie wiem, jak ty, Jarosławie, ale my zostajemy tutaj. Owszem, czasami należy nawet zbojkotować to czy owo, ale niechby bojkot trwał od — do; to ma być akcja, a nie stan permanentny. Mylą akcję ze stanem ciągłym, nie rozumieją, proszę ksiądz, że to winno trwać od — do. No więc mają teraz swojego Wołka.

AGA Umawialiśmy się, pani Walu? Pora na nas.

PANI WALA Przestańcie zamykać mi gębę! Że niby jak tu ksiądz, to was stara rewolucjonistka skompromituje?

KSIĄDZ W zasadzie ma pani słuszość. Bojkot powinien trwać od — do.

PANI WALA Albo wypominają, że wyzwolili nas i tak dalej... a ja wyzwalalam Monte Cassino i co: pcham się tam?

AGA No już, grzecznie się pożegnać proszę i...

PANI WALA No i wygarnęłam mu, oczywista, że takiego mecenasa, który z planów wydawniczych ruguje książki przeciwników zaistniałej sytuacji, takiego mecenasa powinno się na postronku po jarmarkach wodzić. A tak! Wygarnęłam mu!

PROFESOR Myli mama jednego ministra z drugim, sekretarza z aptekarzem, po cóż wtrącać się w nie swoje sprawy!

PANI WALA Jakże w nie swoje... a w czyjeż?

AGA Idziemy, no już, proszę grzecznie ze mną! (odjeżdża wreszcie z wózkiem, który przedtem zarył w piach i nie mogła go ruszyć)

PROFESOR A my tędy, księżu Józefie.

PANI WALA I gdzie jest pan Iz? Gdzież się nagle podział nasz uroczysty idiota ze starego portfela!

PROFESOR Tędy, proszę... moja teściowa, rozumie ksiądz, nieszczęsny wiek.

KSIĄDZ Oby i nam takiego doczekać!

PANI WALA Zagrajmy w pana Iz, naszego uroczystego idiotę, który spieszy oznajmić, że coś tam i coś tam iż... Coś tam i coś tam iż...

KSIĄDZ Taa... A ta osoba towarzysząca pani Wali, jakbym ją znał?

PROFESOR Raczej nie, taka tam. I co z tą zakonniczką?

Śmieją się.

KSIĄDZ Właśnie. Więc, jak już wspominałem, umówiliśmy się na wypadek, gdyby któryś z nas zapędził się za daleko w publicznej wypowiedzi...

PROFESOR Że mu „puścicie zakonniczkę”?

KSIĄDZ Taa... Żeby przebiegła, powiedzmy, stąd tam i jeszcze raz i jeszcze, póki mówiący nie zreflektuje się i nie wyrzeknie: amen.

PROFESOR I to pośkutkowało tamtego akurat sierpnia w Częstochowie?

KSIĄDZ Ma się rozumieć; nie zdążyliśmy już uzgodnić z nim wszeźniej stanowiska, przyjechał późno, zmęczony, schorowany — po takiej wielogodzinnej naradzie z pierwszym sekretarzem, a tamtem nakładł mu przecież w uszy furę własnych łeków przed interwencją...

PROFESOR Ba, nasz odwieczny straszak. Więc puściliście mu zakonniczkę?

KSIĄDZ Raz przebiegła stąd tam, znów stamtąd tu i znów, nawet chyba powiedziałem do kogoś obok: zaraz będzie amen. I było amen, taa.

Ku rozmawiającym zbliża się Iza, pisarka, po pięćdziesiątce, zaniedbana, co razi

Profesora, który nie lubi takich nieeleganckich kobiet, zafrasowanych czymś wiecznie i zestresowanych.

IZA Wreszcie dopędziłam panów, widocznie rozminęliśmy się, szukałam was przy innym wyjściu. Zaprowadzę księdza do Janów, to blisko, czekają już. Profesor, zdaje się, w przeciwną?

PROFESOR Mogę jeszcze podejść kawałek z wami.

KSIĄDZ Zaraz, zaraz, przecież to pani Iza, kopę lat, taa... rad jestem.

IZA Ano ja, księżu Józefie, nie przywitałam się z tego wszystkiego.

Ich powitanie przytłumia grupa, która akurat wkracza na scenę z Laureatem niesionym w lektyce. Przed nim i za nim trzy pacholeta ńiosą uroczyste zwoje dyplomów, futerały z plakatami, pióro-gigant i pulpit. Nad całością tej osobliwej procesji czuwa młoda muza i sekretarka zarazem, Hania. Laureat — około siedemdziesiątki — krzepki, okrągłutki, ale naburmuszony i w ogóle humorzysty; mówi rozkapryszonym despotycznym tonem.

HANIA (scenicznym szeptem) Przejście dla laureata, przepuścić proszę.

PROFESOR Spójrzcie no tylko, tam... co widzę!

IZA Laureat we własnej osobie! Ha, nasz niezaradny kolega, trzymający się rzekomo całkiem na uboczu. Ależ to pyszne!

HANIA Tędy panowie nieście go. Albo postawcie na chwilę. Proszę nie robić zdjęć, jemu to szkodzi. Żadnych reflektorów, błysków. Wyżej ten futerał, chłopcze. Dlaczego dyplomy są takie niewidoczne, rozwinąć dyplomy!

LAUREAT Haniu, po co to, na co... eee, dałabyś spokój. Ale tam jeszcze jeden dyplom w rogu całkiem zasłonięty, co? Każ odsłonić, co? Skoro postanowiłaś, żeby coś było widać...

PROFESOR Aaaa, kogo widzę, nasz Laureat, witam!

Ksiądz z Izą stają nieco na uboczu.

LAUREAT Ty, wy także tu? Eee... nie będę z wami teraz gadał, już się dziś nagadałem. Ta telewizja, ci dziennikarze wszystko i tak przekręcą, wykreślą, eee... Ja się nie nadaję do takiej eksploatacji.

PROFESOR Ależ maruda z ciebie. Bądźże choć raz zadowolony, należało ci się, winszuję z całego serca.

LAUREAT Eee, Jarosławie, daj spokój, jeszcze i ty. Taka sobie nagroda. Owszem, były jakieś telegramy z zagranicy, owacje, zaproszenia też, naturalnie, ale wisz, że mnie to już nie interesuje, chyba żeby Hania chciała gdzieś koniecznie... wywoływano mnie wiele razy, trzeba się było kłaniać i kłaniać, a tego przecież nie lubię! Ja wim, kto tam siedzi wśród publiczności? Potem przekręcą w jakim radiu, że laureat kłaniał się nie temu, co trza... A z wami tu ksiądz, widzę... nic tu po mnie w takim razie, nie zatrzymuj mnie, Jarosławie, o czym ja miałbym z księdzem, przecież wisz. Zresztą nie pilno mi na tamten świat. Jak już przyjdzie moja pora, sam sobie księdza zawołam.

IZA Ależ parada, celebra, no proszę, kto by przypuszczał, że lubisz się ze sobą obnosić niczym cesarz. I ten dwór! I ten wystrój! I te szczegóły! No, pełna gala, pompa!

LAUREAT Kpisz sobie, nie czytałaś, co powypisywali, jakie o mnie brednie znów... Przeczytaj, tam dopiero znajdziesz wodę na swój młyn.

PROFESOR Chodźże do nas bodaj na dwa słowa, całe wieki nie widziałem cię.

LAUREAT Nie było mnie. Wciąż te podróże, eee, wy pewno o polityce, w takim razie nie będę gadać z wami, ja swoją politykę już zrobiłem czterdzieści lat temu, będzie tego dość.

KSIĄDZ (do Izę) Jakby tylko on jeden wtedy ją robił.

IZA Ależ parada, gala, pompa, niemal jak cesarz? I te trofea, te akcesoria! Mój aż dotąd śpiący podziw zerwał się na równe nogi w obliczu aż tylu dowodów uznania — nie do odparcia.

LAUREAT Możesz sobie z tego kpić. Czy ja ci zasłaniam słońce?

IZA Słońce? Nie. Ale depczesz mi po cieniu. Nie wiedziałeś, że stojąc tak, bez możliwości zrobienia ruchu, rzucam długi cień na twą paradną lektykę?

Laureat daje znak noszowym, odchodzą. Profesor idzie kawaleczek jeszcze razem z nim.

KSIĄDZ Czyżby już wstąpił do nowych związków?

IZA On? Nawet nie.

KSIĄDZ Też racja, po co' mu związki, niańczą go i bez tego.

IZA A co tam w Rzymie?

KSIĄDZ Jak w Rzymie, ale co tu? Widzieliśmy się chyba jeszcze przed amnestią? Napracowaliście się wtedy solidnie.

IZA Wszyscy się napracowali.

KSIĄDZ Pamiętam, a jakże, choćby te wczasy dla dzieci z rodzin internowanych i aresztowanych... taka mrówcza, rzetelna posługa świadczona niemal anonimowo, bez rozgłosu i poklasku.

IZA Bo nie na pokaz.

KSIĄDZ Jakżeście sobie wtedy dały radę bez telefonów przecież, a w ogóle bez poczty. A trzeba było objąć cały kraj, góry i morze, jeziora... z panią Zofią i z tą, jakże jej było?

IZA Z Agą.

PROFESOR (*który właśnie wrócił do nich*) Z Agą?

KSIĄDZ Nie ona przypadkiem szła tu właśnie z pańską teściową?

PROFESOR Niewykluczone. Więc Aga? Jakoś mi to umknęło, że i ona...

IZA Nie było paną tu. Był pan chyba na stypendium w Stanach.

PROFESOR Albo w RFN. Jeździło się to tu, to tam.

KSIĄDZ To ważne dla higieny psychicznej.

PROFESOR Nie wyobrażam sobie, że mógłbym bodaj raz w roku nie odwiedzić na dłużej naszej starej Europy, a co dopiero Nowy Świat! A co tam w Rzymie?

KSIĄDZ Co w Rzymie? A co innego może dzisiaj być w Rzymie? Tłum rodaków. Pielgrzymki, taa... Papież ma cały świat na głowie, ale oni wielce z siebie konten-ei walą za tę spiżową bramę jak w dym i to walą jak do kuzyna w odwiedziny, bez najmniejszej krępacji. Zachowują się familiarnie, ot, najchętniej pewno strzeliliby z ojcem świętym kielicha i odśpiewali mu sto lat. A! Włosi, naturalnie, patrzą, słuchają. Pielgrzymi z innych krajów czują się zobowiązani bodaj do pięknego odśpiewania starannie wybranych pieśni, a nasi? Naszym wydaje się, że dość być rodakiem! Kiedy natomiast dojdzie do tak zwanego śpiewu...

IZA Istotnie trochę irytująca jest ta powierzchowna u nas nabożność. Przecież z tego powodu odeszła wtedy Aga z naszego Komitetu.

KSIĄDZ Właśnie byłem tego ciekaw, co takiego zaszło wtedy, że pogniewana odeszła?

IZA Jakże, nie pamięta już ksiądz? Poszło o dwójkę dzieciaków z rodziny internowanych, które za przyzwoleniem miejscowego proboszcza gospodarz wyrzucił z letniska, jako że dzieciaki nie były przyuczone do chodzenia do kościoła.

PROFESOR Niebawale: coś takiego zdarzało się więc?

IZA Jakbyśmy nie mieli wtedy w kraju jakiegoś narodowego nieszczęścia, tylko powiedzmy wojnę na tle religijnym! A przecież Aga sporo się wtedy nachodziła koło wczasów dla tych malców.

KSIĄDZ Nic nie wiedziałem o tym.

IZA (*niegrzecznie*) Nieprawda, wiedział ksiądz, przy mnie mówiła to księdzu.

KSIĄDZ Tyle spraw całkiem nowych dla nas, drażliwych... Coś przecież mogło mi umknąć, uczyliśmy się wszyscy. A z drugiej strony — wiedziałyście w końcu, że przyszyście do kościoła!

IZA Ale nie jako skruszone, nawrócone owieczki! To była obywatelska sprawa. Trze-

ba było natychmiast dodać społeczeństwu otuchy, pomóc mu. Kościół był jedyną instytucją wtedy, w której można było legalnie prowadzić tę charytatywną działalność. I to już od pierwszych godzin stanu wojennego!

KSIĄDZ Taaa, przyznaję, niedobrze się stało, taa...

IZA Pamięta ksiądz te kilometrowe kolejki ludzi niosących dary, gdy udało nam się z akcją paczek do więzień? Wszyscy chcieli mieć w tym swój udział

KSIĄDZ Ludzie pięknieli...

IZA Tak, społeczeństwo nasze pięknieje jakoś od środka w chwilach zagrożenia, albo w takich właśnie sytuacjach, gdy wzajem biegnie sobie na ratunek.

PROFESOR Natomiast staje się szpetne w chwilach stagnacji, fakt.

IZA Robi się wtedy pazerne, rozpychające się, pijackowate, cwane. Ale wtedy akurat miało swoją piękną chwilę. Nie zapomnę twarzy tych ludzi... jakże wzruszonych! Że mogą podzielić się z bardziej potrzebującymi... ich serdecznych darów, ich słów śpiesznie dopisywanych na świąteczne kartki do nieznajomych. A wszystko to przecież w dobie głębokiego kryzysu!

Posuwistym, teatralnym krokiem wchodzi trzech młodzików w umownych mundurach, którzy bawią się w patrolowanie okolicy. Chłopak grający dowódcę rozkłada mapę, bawi się zarówno wskaźnikiem do mapy, lornetką jak i swoim dowodzeniem. Oznaczmy ich literami A,B,C.

A Spójrzmy na mapę, panowie.

B i C Tak jest, dowódco patrolu.

A My znajdujemy się tu, nieprawdaż.

C Ośmielam się rzec, że raczej tam, nieco w prawo od wskazanego punktu.

B Tyle to ja wiem i bez mapy. Jak tu, to tu, przecież widzę dokoła, że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

A Nie dyskutować; więc jesteśmy tu... powiedzmy. Ale mieliśmy być tam, nieprawdaż. Więc musimy iść tak, nieprawdaż, i tak. Jakże to będzie wyglądało w plenerze, w tym terenie?

C Ośmielam się rzec, że trzeba iść tędy, zgodnie z drogowskazem.

B To jasne jak na dłoni, tyle to ja i bez mapy wiem, z samego drogowskazu widać przecież, że tędy.

A Nie dyskutować. Spójrzmy na mapę, panowie. My znajdujemy się tu. A powinniśmy już znaleźć się tam. Więc pójdziemy, nieprawdaż, tędy i tamtędy, póki nie znajdziemy się tam. Są pytania, panowie? (odmierza czas na zegarku) Zatem w drogę.

Oddalają się w odwrotnym od zaplanowanego kierunku.

KSIĄDZ Taa, a u pani, Izo? Nieszczególnie pani wygląda. Kłopoty?

IZA Zmęczona jestem, zła, parę lat bez relaksu właściwie. Oblazło mnie jakieś psychiczne pasądztwo, marazmy, apatie... W tym stanie pisać nie sposób, a to dla mnie najgorsze.

PROFESOR Słyszałem, że znów coś z paszportem.

IZA Od paru lat to samo. Teraz znów się szamoczę o wyjazd, od pół roku zwodzą mnie z dnia na dzień, że jutro, może jutro — ot, taka gra na zwłokę, czy też gra w odbijanego. A tam u nich wściekły tłok, nerwy, koszmar. Od rana w napięciu, czy zdołam dowiedzieć się przed zamknięciem okienka; i co rusz a to jakaś wiza traci ważność albo zaproszenie staje się nieaktualne — przecież nigdzie nas nie chcą, zbywają krótkimi terminami, mają Polaków dość! Przepada więc rezerwacja samolotu, hotelu... życie przepada na niczym. Wreszcie taki jeden tam młokos podszyty na pisarzy takich jak ja powiada do mnie opryskliwie: pani tu znów! Czasami myślę, że któryś z nich liczy na to, że wreszcie wykorkuję, i...

KSIĄDZ To dziwne. Tyłu wyjeżdża przecież, a pani...

PROFESOR Właśnie: mnie puszczają. Spróbowałiby tylko odmówić!

IZA Pan mieszka w mieście, na widoku, wiadomo: ambasady, korespondenci, genera-

łowie lubiący mieć gest, a ja? Poza tym — widocznie jedni zostali przeznaczeni na eksport, podczas gdy drudzy, tacy jak ja...

Wbiega w podskokach Ewa, droczy się z idącymi za nią Markiem i Krysią. Cała trójka to młodzi ludzie, którzy mają powody, by bawić się w teatr.

EWA Ha, ha, ha! Gdzie wyście mnie tu przywieźli, do Emerytkowa!

MAREK Zaczekaj, Ewa, zaraz ci wszystko wytłumaczę.

KRYZIA Marku, zostaw ją, niech się wygłupia.

MAREK Ale zaczekaj, Ewa, no, coś ci tylko powiem.

EWA Ha, ha, ha! Pryk przy pryku, to przykowisko, co Krysiu? Istne przykowisko! O! *(dostrzega Profesora, chowa się za Krysią)* Przepraszam, panie profesorze, to jest... dzień dobry!

MAREK Pan profesor... najmocniej przepraszam, tak wygłupiamy się...

KRYZIA A w miasteczku znów, panie profesorze.

PROFESOR Co znów?

MŁODZI No, rozruchy... nie słyszycie państwo? Chyba zaległy śmigus-dyngus odbębniąją przy fajerwerkach.

KSIĄDZ Znowu rozruchy... ale czy potrzebnie?

PROFESOR Główne batalie, te rozstrzygające, są już właściwie za nami.

IZA Właśnie. Nawet nie bardzo wiadomo, kto teraz za tym stoi.

EWA A my się wygłupiamy, bo... Zresztą zawsze wpierw musimy się rozejrzeć w terenie, zanim...

MAREK I żeby zeszło się trochę ludzi.

KRYZIA Zresztą co tu innego można robić, panie profesorze?

MAREK Co innego można robić w takim snobistycznym uzdrowisku, do którego nie kwapi się klasa robotnicza?

IZA Snobistycznym? Myślałam, że podupadłym raczej.

Młodzi aranżują na poczekaniu scenkę utrzymaną w infantylnym tonie.

MAREK *(trzyma przed sobą pełniący funkcję drzwi jakiś kawałek dykty czy blok rysunkowy; puka weń)* Puk, puk...

EWA i KRYZIA Kto tam?

MAREK Historia.

EWA O tej porze?

KRYZIA Że kto?

EWA Mówi, że historia. Pokaż kopytko! *(tłumi śmiech)*

KRYZIA Nie dzisiaj, nie otwieraj, nie odzywaj się, zgaś szybko światło, nie mamy czasu.

EWA Proszę przyjść kiedy indziej, jesteśmy zajęte.

KRYZIA Pędzimy bimber, powielamy bibułę!

Prychają śmiechem.

KRYZIA Historia z geografiami nazbyt plądrują nam umysł!

EWA Te nasiadówki w pracy, te wystaniówki w sklepach!

KRYZIA Wreszcie jest noc, należy nam się spokój.

MAREK Ja też jestem zalatana, głowę tracę, otwierać!

KRYZIA Pani tu nie wejdzie!

EWA Pani tu nie stała.

MAREK I tak wejdę, wepchnę się, wcisnę! Jestem historia! *(zarzuca bluzę niczym to-gę)*

EWA Każdy może powiedzieć, że jest Bóg w czym.

KRYZIA W nocy wszystkie kopy są bure.

EWA W nocy nie mamy obowiązku nikomu otwierać.

MAREK Gwiżdżę na to, ja sama ustanawiam prawa, konwencje, konstytucje. *(placze-liwie)* Zimno mi, zmarzłam na kość.

EWA Zerknę przez dziurkę, przez judaszka, korci mnie, jak taka historia wygląda.

KRYSIA Oszalałaś, zarazisz się!

EWA Co mi szkodzi... najwyżej dostanę galopującej bieżączki.

KRYSIA A jeżeli staniesz się palpitańtem politycznym!

EWA Boże broń! Jednak zerknę, tyle się gada o tej historii, że to lub owo...

KRYSIA Daj, też spojrzę.

Blysk, łomot, historia wyważa drzwi.

EWA A cóż to znowu, kto pozwolił!

KRYSIA Co znaczy, kim jesteś!

MAREK (*rozrzuca ulotki*) Oto moje papiery, glejty, przepustki!

Przechodnie podnoszą papiery, zerkają w nie, chowają i rozchodzą się.

EWA A historia?

MAREK Historia — to my!

KRYSIA Niebywała bezczelność.

MAREK A teraz ani mru-mru, nie otwierać, nie sarkać, nie biadolić, nie podnosić telefonu, nie wszczynać alarmu, nie ślać protestów.

EWA i KRYSIA Ależ to napad! (*strzelają na boki oczyma, czy nikt ich nie próbuje ścigać*)

MAREK Nie, to właśnie historia!

Rozbiegają się w podskokach radzi, że nic się nie stało.

IZA Zabawne dzieciaki.

KSIĄDZ Ale ulotki rozrzućli w tłum.

PROFESOR Szczęśliwy wiek, wierzą w skuteczność swych działań.

KSIĄDZ Ach, młodość, młodość...

PROFESOR Pani wspomniała coś, nie zrozumiałem dobrze, że tacy jak ja są na eksport, czy tak? Jaśniej proszę.

KSIĄDZ Tylko się nie kłóćcie, mili.

IZA Należy pan w końcu do tej garstki wybranych z opozycji, którzy poruszają się po świecie bez specjalnych przeszkód. I cóż pan robi taką minę, przecież to prawda.

PROFESOR I niby czemu to zawdzięczam pani skromnym zdaniem?

IZA Może macie te przywileje, żeby oni mogli świadczyć przed światem, że „mniejsze zło” wcale nie jest takie złe?

PROFESOR Pani wybaczy... ten kraj, księżu Józefie, jest chory... pani też jest chora, wszyscy jesteście tu chorzy! Właśnie mówiłem przed chwilą żonie: jesteście chorzy!

IZA Ależ tak, jesteśmy! W tym sęk. Tylu naszych przyjaciół — nie tak znów starych — zgasło tu w ostatnich latach, tak, zgasło właśnie, jeden po drugim. Nie w kazamatach, broń Boże, ani z powodu tortur czy czegoś w tym rodzaju. Oni — wie pan — najspokojniej w świecie zgasli we własnych łózkach i co pan na to? Umarli jak najprywatniej. Nie tylko na serce czy nowotwór. Często szło o coś o wiele nawet mniejszego. A dlaczego? Bo nie wytrzymali napięcia: czy pan to rozumie? Organizm przestał się bronić, nagle zabrakło im motywu, żeby się uprzeć przy życiu.

KSIĄDZ Taaa...

IZA A z czego to napięcie? Z głupstwa, wstyd powiedzieć. Pan taki w świecie bywały gotów się śmiać. Na przykład: czy starczy tego, po co w dzikim tłoku stoje już od trzech godzin, czy zbraknie, więc jutro znów trzeba będzie po to samo stanąć. Albo: podpisać ten apel czy nie podpisać, bo na moją paruosobową instytucję znów ostrzą sobie zęby i gotowi pod tym pretekstem rozwiązać ją, a to byłaby strata nie tylko moja. Przyjdą czy nie przyjdą po mnie? Puszczą w świat czy nie puszczą? Książkę wydadzą czy nie? A jeszcze to rozpasanie niższych rangą, którym szepnięto: huzia!

KSIĄDZ A to już nie są te „ciemniaki”, co kiedyś.

PROFESOR W każdym razie z tego, co wiem, przestudiowali Pawłowa.

IZA Ach, co ktokolwiek poza nami, tu żyjącymi właśnie tak, jak się tu wszystkim żyje: bez ulg, bez przywilejów, ba gorzej, bo wbrew naturalnemu pociągowi do niezbędnej w naszej profesji malowniczości, specyficznej atmosfery i tak dalej, kto więc poza nami tu może wiedzieć o uporze, z jakim na przekór dolegliwościom, faktom i plotkom polski pisarz nie daje się zniechęcić do bycia polskim pisarzem? I kto inny potrafiłby tak iść, iść, i do niczego nie dojść... najwyżej wracać raz po raz do punktu wyjścia — ale nie załamać się! Patrzę na swoje książki... ta przeleżała osiem lat w wydawnictwie, tu tekścik skubnięty boleśnie przed laty, że jakoby jest anty, raptem jak gdyby nic pojawia się, jakim więc prawem? Czyżby ustrój się zmienił? A jeśli ustrój ten sam i utwór ten sam, tylko czyjeś widzisz się zmieściło, to gdzie głowa tego, który udręczył tekst i autora — a zwłaszcza czytelników!

PROFESOR Ale co ja mam z tym, dlaczego pani z tym do mnie!

IZA Bo pan taki Europejczyk, taki ponad to, z innej gliny.

PROFESOR Nic nie poradzę, nie nadaję się na męczennika czy ofiarę. Jestem człowiekiem czynu.

IZA I sukcesu.

PROFESOR A tak. I sukcesu. Innej roli od losu nie przyjmę.

KSIĄDZ No, no, no, moi mili, nie kłóćcie się, nie przystoi.

PROFESOR Więc według pani jestem kolaborantem!

IZA Wcale nie mówiłam tego, niepotrzebnie się pan piekli. To ich scenariusz, nie pana.

KSIĄDZ Jakże bolesny to cios dla pani, te odmowy wyjazdu. W pani profesji...

IZA Ba. Ja tu już wszystko znam na pamięć, wszystkie te udręczenia! Czuję, że kiedy mnie wreszcie kiedyś tam wypuszczą w świat, zapomnę języka w gębie. Będę belkotać od rzeczy jak istota niedorozwinięta. Z pewnością nie będę już umiała się znaleźć wśród kulturalnych ludzi. Z pewnością nie potrafię już odczuwać kulturalnych rozterek. Nie tylko palce mi zgrubiały, ale i dusza. Wszystko we mnie zgrubiało. Cała zgrubiałam. Mam teraz twardą skórę i pospolite zachcenia. Język mam gruboskórny. Nawet nie zaprzeczacie, panowie. Sami widzicie, że to prawda, a nie jakaś kokieteria!

Posuwiście wkraczają trzej już znani młodzi w umownych mundurach.

A Spójrzmy na mapę, panowie.

B i C Tak jest, dowódco patrolu.

A My znajdujemy się tu, nieprawdaż.

C Powiedzmy.

A Dlaczego „powiedzmy”?

C Jeżeli można dyskutować...

A Pozwalam dyskutować, (*spogląda na zegarek*) daję wam trzy minuty.

C W takim razie powiem wprost: nie znajdujemy się tam tylko tu.

B Nowina. O czym tu dyskutować, przecież to proste jak drut. Widać jak na dłoni, że nadal jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, a nie tam. Żeby iść tam, trzeba by iść zgodnie z drogowskazem, po co mącić?

A Koniec dyskusji. Radzę, panowie, spójrzmy uważnie na mapę. I jeszcze raz spójrzmy na okolicę. Spójrzmy uważnie na mapę i okolicę. I znów spójrzmy na mapę. Co widzimy? To nie ta mapa, panowie. To w żadnym razie nie ta mapa, jasne? Zarządzam odmarsz w rozpoznanym na nowo kierunku!

Odchodzą w przeciwną stronę.

PROFESOR Pani chyba za grzeczna z nimi, trzeba się odwoływać! Do generała pójść!

IZA Ze mną w tych sprawach konferują co najwyżej kaprale... zwłaszcza duchowi kaprale. Panowie odwykli od tutejszych realiów.

KSIĄDZ (*kwaśno*) Gdzie Rzym, gdzie Krym...

IZA Takie rozmowy władzy z niepokornymi twórcami to przecież cały teatr! A bez świateł jupiterów, a zwłaszcza bez wyrobionej publiczności nie opłaca się urządzać teatru. Skąd więc w miastach nie będących na widoku...

PROFESOR Trzeba więc było stąd wiać! W porę wiać! Ten wasz niemądry doprawdy upór, żeby koniecznie zostać z narodem i trwać z nim w biedzie. I co to komu dało, pytam? Mniejsze talenty znalazłszy się tam, na obczyźnie, w atmosferze życzliwego zainteresowania nagle rozkwitły, zajaśniały pełnym blaskiem, a tu... i humor zwarzony, i talent!

KSIĄDZ Zwarzony niczym te chryzantemy, kiedy na Święto Zmarłych przychwyci je przymrozek i potem straszą zardzewiałymi brzegami.

PROFESOR Jak świadomy artysta może pozwolić sobie na to, żeby zmarniał i on sam i jego talent, nie pojmuję tego! Trzeba mieć przecież instynkt samozachowawczy. Trzeba było wiać!

IZA A cóż by to była za inteligencja polska. Cóż by to byli za twórcy i w ogóle intelektualści, którzy opuściliby tę młodą i jakby całkiem nową klasę robotniczą w jej pierwszym, bolesnym doświadczeniu, przeżywanym na taką aż skalę? A cóż by to byli dzisiaj za pisarze, którzy spietraliby się i woleli schronić własny tyłek na wygodnych kolanach Europy, i dla chwilowego poklasku wyrzekliby się wspólnego doświadczenia tu przeżywanego, tu, z tutejszymi zabiedzonymi ludźmi, którym przecież w tej nędzy i wśród tylu aż obaw — nie zabrakło heroizmu! Przecież tu ludzie różnych profesji i różnych generacji wreszcie po raz pierwszy w naszych dziejach razem, ramię w ramię, wypracowywali wspólnie jakieś wzory godnego zachowania się w nieoczekiwanych, trudnych sytuacjach; przecież tu cementował się naród — kiedy was przy tym nie było!

PROFESOR Czyżby usiłowała pani zdyskredytować emigrację?

IZA A jeśli tej ojczyzny trzeba dzisiaj przede wszystkim tu bronić, a nie tam? A jeśli tu trzeba warować przy elementarnych wartościach, tu wspierać się wzajem i wspomagać? A gdyby tak wszyscy z tej wielkiej miłości na pokaz zwiali za granicę, co? Czy ta ojczyzna wtedy jeszcze by tu była?

KSIĄDZ No, no, no, nie kłóćmy się, nie przystoi.

PROFESOR (*zmienia temat*) A wracając do rzeczy, proszę wybaczyć ciekawość: mają coś konkretnego przeciw pani?

IZA Owszem, mają ten swój wygodny paragraf, że mianowicie nie muszą się tłumaczyć ze swych odmownych decyzji.

KSIĄDZ I zapewne kilka autografów pani pod jakimś apelem czy protestem. I my tu chcemy się zwać Europą!

IZA Czasami myślę, że oni panicznie boją się ludzi pióra. Może myślą, że taka stara baba, jak ja, zbrojna w krótki długopis, zdolna jest rzucić zły urok na ich sprawy?

Iza wychodzi z Księdzem. Nadchodzi Zofia, po chwili z drugiej strony zbliża się Krzyś, na widok Profesora i jego żony chce się cofnąć, ale jest już na to za późno.

ZOFIA Sam jesteś? O, i pan Krzyś tu nadchodzi.

KRZYŚ Nie... to znaczy ja tylko...

PROFESOR Dobrze, że wreszcie pana widzę, halo.

KRZYŚ Coś pilnego? Bardzo? Bo właśnie... bo ja... nie...

PROFESOR To może później, co?

ZOFIA Właśnie, może później? Prosimy.

KRZYŚ Spróbuję... chyba jednak... ale poniekąd, gdyż... (*wycofuje się śpiesznie*)

ZOFIA Co on taki dziwny.

PROFESOR Spietrał się?

ZOFIA A mojej matki przypadkiem tu nie było?

PROFESOR Niestety była, aż zanadto.

ZOFIA Podobno naurągała Wołkowi.

PROFESOR Oczywiście, poplątała jednego ministra z drugim. Ilekroć ją widzę, wybaczą, ciarki chodzą mi po plecach, że ona coś takiego za chwilę palnie!

ZOFIA Też będziesz pieprzył na starość.

PROFESOR Może i tak. Ale mam nadzieję, że nikt mnie przynajmniej nie zobaczy z tak absurdalną robótką w rękach!

Śmiejąc się, wychodzą. Ich miejsce zajmuje teraz trójka wysokich urzędników, już w wakacyjnych strojach.

WOŁEK Bodaj by jeden dzień odsapnąć od polityki.

STASIU Nie u nas, nie w tym kraju, panie ministrze.

WOŁEK Na ryby, na grzyby iść, jakby naprawdę szło się na ryby i grzyby.

STASIU A nie na niby.

MIECIU Nie radzę, wszystko podtrute, panie ministrze. Zwłaszcza przy grzybach teraz licznik skacze.

WOŁEK At, dajcie spokój, chłopaki, już i słuchać nie mogę, moja teściowa ma szklarnię i działkę, co wam będę mówił, wszystko to nawet na gnój nie nadaje się teraz.

MIECIU Im co było zdrowsze, tym bardziej teraz szkodzi.

WOŁEK Wiem, wiem, chłopaki, ser, mleko, jaja, ale ja akurat nie cierpię mleka, sera ani omletów z rzodkiewkami czy tam truskawkami. Nawiasem mówiąc przydałoby się tyknąć jakiegoś klina.

STASIU Załatwione, ten wariant także braliśmy pod uwagę.

WOŁEK Skoro już mamy koniecznie truć czymś swój organizm, mam więcej zaufania do tej akurat trucizny.

Chętnie śmieją się. Słychać odgłosy petard.

WOŁEK Ciekawość, co tam znowu za owacje?

MIECIU W miasteczku mają zaległy dyngus. Ale nic wielkiego, ponoć, ot, przepychanki z wyróstkami.

STASIU Z małej chmury, jak to mówią...

WOŁEK Nic nie słyszałem, mam urlop. Muszę żdziebko odsapnąć, też człowiek jest. Nie samą polityką, co? Żyje się tutaj.

Mija ich kilka osób z głowami demonstracyjnie odwróconymi w drugą stronę.

WOŁEK Oni myślą, że ktoś ich będzie przeproszał. Za co? A kto mnie przeprosi? Ja to pies? Mną niby wolno pomiatać i naigrawać się w tych ichnich pisemkach dlatego tylko, że podjąłem się cokolwiek tu zrobić?

W głębi ciasno objęci przechodzą Lel i Pol.

WOŁEK A tam znów co za monstrum!

STASIU Miejskowa atrakcja, panie ministrze.

MIECIU Syjamscy bracia. Lel i Pol, czyli Lelum-Polelum.

WOŁEK W czym ta atrakcja, w ich nieszczęściu? Nie bardzo chwytam.

STASIU Jeden z nich rwie się do konspiracji, drugi za Boga nie chce mieć nic wspólnego z polityką.

WOŁEK Aaaa, to rzeczywiście atrakcja.

MIECIU Tamten wpadł na czymś drobnym zresztą.

STASIU Mają teraz wyrok w zawieszeniu. I zamknęli im warsztat intrologatorski.

MIECIU Bo jakże posadzić tylko winnego, skoro obaj tak są zrośnięci biodrem na amen, że żaden chirurg świata nie chce się podjąć operacji, żeby ich rozdzielić?

WOŁEK Rzeczywiście fenomen. Ale nie wierzę, że ten drugi nie wiedział, iż ten konspiruje. Musiał wiedzieć, skoro tacy są nierozłączni.

STASIU Podobno sypią na zmianę.

MIECIU Żeby zyskać bodaj minuty samotności, czy tam osobności.

STASIU I jeden z nich jest w dodatku od niedawna żonaty.

WOŁEK A to już nie moja działka. To inna para kaloszy, chłopaki, i niech się wam nie zdaje, że wciążecie mnie w jakieś gadki o dupie Maryni.

STASIU i MIECIU Ale... to jakieś nieporozumienie, panie ministrze!

WOŁEK Nie ze mną te numery, chłopaki, to tak nawiasem mówiąc.

Odgłos petard, wzmożone sygnały wozów policyjnych i tak dalej.

WOŁEK (nasłuchuje) Niech to gwint spali. Wracamy, chłopaki. Koniec urlopu! Skombinujcie jakiś wóz i niech ktoś mnie łączy z centralą.

Wychodząc zamaszycie urzędnicy zderzają się niemal z Profesorem i Zofią, chwila obustronnej konsternacji, powstrzymywania się od ukłonu, niezgrabne tłumienie galanterii.

WOŁEK O, przepraszam, wybaczysz pani...

ZOFIA No wście państwo? On przeprasz, jednak przeprasz! (do męża, potem) Muśieliśmy się natknąć akurat na niego.

PROFESOR (spogląda w stronę, z której wylania się para przyglupów: Las i Światowid) A tam co znów, maskarada? Teatr uliczny?

ZOFIA Nasze miejscowe przyglupy, jak tu o nich mówią. Ten tu w gałązkach, z poróżem, to fizyk, zwą go Las; pewno wspominałam ci o nim? Oszalał. Ukrywał się dwa lata w jakiejś piwnicy, potem wyrzucano go z pracy i coś tam, i coś tam...

PROFESOR Nie myślałem, że ludziom tak odbija z powodu tej sytuacji.

ZOFIA Tamten znów, Światowid, sfiksował na innym tle. Odbiło mu nacią, rdzenną nacią, ma się rozumieć... trochę to obrzydliwe, nie?

PROFESOR Poczekaj, kiedy to ciekawe, daj posłuchać.

LAS Ludzie, wasza przeklęta rdza żżera mnie na wskroś. I tyłem odwrócony czarny promień do rdzenia przeszył mi korzenie...

ZOFIA Dwa lata bez pracy, w jego profesji — cóż chcesz? — w piwnicy. Dziwisz się? Sam nie miałeś takich problemów.

PROFESOR A widzisz. Gdyby w porę wyjechał stąd — kto wie? Rozum warto chyba ratować?

Las ze skradającym się za nim Światowidem wybiegają za scenę.

PROFESOR To, co tu zastałem, jedynie utwierdziło mnie w przekonaniu, że słusznie postąpiłem. Jestem wygrany, moja droga, i to pod każdym względem jestem wygrany. Nie poniosłem najmniejszego uszczerbku ani na zdrowiu, ani na karierze, ani na honorze. Cieszę się najlepszą opinią w świecie i w kraju u tych osób, na których zdaniu mi zależy. Jestem dziś powszechnie znany, będę mnie zapraszać, będą mi proponować wykłady to tu, to tam. Wydoskonalilem swoją angielszczyznę, nieźle radzę sobie już z niemieckim i francuskim, nie widzę przeszkód, by teraz i rosyjski podciągnąć nieco. Tak, słusznie wybrałem. Pomnożyłem też nasz stan posiadania, droga Zosiu. Mamy zabezpieczoną starość. Będziemy mogli, staruszek, rozejrzeć się nieco u schyłku życia po świecie, zwiedzać zabytki, kuśtykać o lasce przez nieopisanie piękne miasta i krajobrazy, przez galerie i muzea, przez słoneczne plaże i egzotyczne gaje, przez bajecznie kolorowe sklepy. Ty i ja. Tak, tak, moja śliczna młoda staruszek. Przeżyliśmy w trudzie kawał życia, przyjdzie wnet czas na zbieranie owoców, i — obiecuję ci! — znajdziesz te owoce, na które zwłaszcza ty zasługujesz! Poczujesz się jak grzeczna dziewczynka, która wie, że Mikołaj musi przyjść, bo przecież była taka grzeczna!

ZOFIA Daj spokój.

PROFESOR Za rok, za dwa sama przyznasz mi rację; docenisz, jak byłem dalekowzroczny. A tu? Niestety stało się, jak przeczuwałem w najgorszych snach. Wszystko to raz jeszcze okazało się jedynie mrzonką, bardzo malowniczą, ale mrzonką. I pora wyciągnąć stąd wnioski.

Wychodzą. Światowid, który parę razy wyglądał niecierpliwie zza kulis, teraz wychodzi, tuż za nim zjawia się Las.

ŚWIATOWID Dobra nasza, nareszcie poszli sobie. Zajęli moje miejsce, a już najwyższy czas, by stanąć na rozdrożu i trzymać wartę. Już ja im dam bobu, zaraz komuś sadła zaleję za skórę, aaa...

LAS A ty kto, kotku, skąd ty tutaj?

ŚWIATOWID Jam jest... Światowid!

LAS Won asinǳiej gdzie inǳiej. Wariata strugasz? To mój rewir.

ŚWIATOWID Wariat.

LAS Wariat.

ŚWIATOWID Wszedłeś w moją kwestię. Myślę o rdzeniu.

LAS Że czarny promień do rdzenia przeszył mi korzenie? Ja to miesiącami cyzelowałem w ciemnicy. Wynocha, to ty wszedłeś mi w paradę. Spływaj pókim dobry.

ŚWIATOWID Rdzenna nacja, w tym sęk. Zło wszelkie płynie od obcych. Zaraza. Oni w narodzie sięją zgubę i zaszczepiają jad. Przejrzałem skórkojada!

LAS Co trujesz, bracie, wiesz, że mi psujesz tu powietrze!

ŚWIATOWID Obca krew, obca nacja, spisek, zmowa, hola, wypierdki mędrców Syjonu, wara tryzuby i ty, pepiku, precz pyro przebrzydła, znam cię na wylot, knedliczku, owa, już rusy-prusy znów chyłkiem wkradają się do łask, ten, popatrz, i ów z ciemnym pigmentem na pysku kała łożę twej siostry, kysz, kysz, negatyw, negatyw...

LAS (*parodiuje poloneza*) Ej, juchy, juchy, juchy, Niemce są psiajuchy, Moskale smar-kale, a Polacy — zuchy! Przecież to wariat, mdli mnie od takiej gadki!

ŚWIATOWID Także i ciebie przejrzałem na wylot... Do czwartego wstecz pokole-nia... wyjaw mi panięńskie nazwisko prababki, aaa — tuś mi! Taisz, zaparłeś się? Strupy na języku, strupy w odbytnicy, biada wam, powiadam, widzę czarne płyty na waszym podniebieniu, matko, i gdzież twe wrzeciono, kądziel twoja gdzie, cudna, wróc, znika len i przedziwo, lenno ojców, taplasz się w gnoju i w bagnie, stój, ladacznico, powiadam, przestań gzić się, dziwko, aids, aids! Już blisko zguba twoja czyha na ciebie tuż tuż. Spisek za spiskiem przeciw tobie, aids, aids! Zbeszczęścisz swą pleć. Na straży stanę, drzyj, obcoplemienny złodzieju, owała-szyć każę, kiedy zaciągnę wartość przy łożu siostry mej, dziewczeczki z jasnym war-koczem, kosą złotą i liczkami cudnym. Zima zimny sięgnie, grom z gromem w splocie bez końca i początku wstrząśnie zatrzaśniętą paszczą nieba...

LAS Ten się dopiero tu rozbredził! Nie dość że nudzi, jeszcze mi powietrze zepsuł.

Wchodzi trzech młodzików w umownych mundurach.

A Stać, stać, ani kroku dalej, cóż to, na bal maskowy się wybieramy, hola, powia-dam.

B Poproszę dowodzik waszej niejasnej tożsamości z aktualną niepodobizną.

ŚWIATOWID (*wskazując Lasę*) To wariat, poruczniku.

LAS (*wskazując Światowida*) Przecież to wariat, panie władzo.

B Prosiłem o dowodzik niejasnej tożsamości.

LAS Oto moja niepodobizna. Struli mnie. Sam siebie poznać nie mogę.

C To tutejsze przyglupy, dowódco patrolu, nieszkodliwi. Znam ich i ludność miejsco-wa do nich przywykła.

B Co za kraj, niech skonom, co rusz jakiś fiśnięty na drodze.

A Nie robić biegowiska, już was tu obu nie ma, no, bo jak ja wam kurtkę skroję, to wyjdzie z tego kaftan!

ŚWIATOWID Ale ja, panie władzo, mam tu szczególne zadanie.

A Co wy bredzicie, jakie zadanie?

ŚWIATOWID Mam tu stać z rozpostartymi rękami... Po moim trupie, niech spróbu-je przejść tędy, no? Niech spróbuje.

A Ale kto?

ŚWIATOWID Aids, aids, aids! (*wybiega*)

LAS Upprzedzam panów, że to wariat. (*odchodzi statecznym krokiem*)

B To kraj fiśnięty, niech skonom, co wy mi tu będziecie mydlić oczy, patrzę, to wi-dzę, nikt mnie nie przekona. Stąd trzeba wiać, zanim człowiek zarazi się tym fi-siem. Co mnie tu trzyma, no co, ja nawet dziadków grób mam za granicą.

CZEŚĆ II

Scena 4 — Na rozdrożu

Na proscenium Zofia i pani Wala w swoim fotelu.

ZOFIA Co to za fantazje, mamó; co też mamie przychodzi do głowy!

PANI WALA Dlaczego miałabym zmyślać, mówię ci, że Aga ma raka piersi.

ZOFIA Powiedziała to mamie?

PANI WALA Nie, ale zamknęła wyniki na klucz, płakała w nocy... A ty? Powiedziałaś wreszcie Jarkowi, że odchodzisz od niego?

ZOFIA Niechże mama mnie nie ponagla!

PANI WALA Znow cię oczarował? Na co czekasz?

ZOFIA Łatwo powiedzieć... sama nie wiem co robić. Władek to zupełnie przeciwieństwo Jarka. Spontaniczny, taki uroczo nieodpowiedzialny. Czuję się przy nim młoda... a przecież jestem już starą kobietą. To mogłoby trwać rok, ja wiem? Któregoś dnia zbudzę się z worami pod oczami, z zapuchniętymi od płaczu powiekami i z furą zmarszczek... wstrętna! Bo on z kimś tam, gdzieś...

PANI WALA Ale jesteś szczęśliwa teraz, ty głupia! Ciesz się chwilą! Rezygnować z osobistego szczęścia...

ZOFIA Mama tak mówi, jakbym ja była z Jarkiem nieszczęśliwa, to nie tak! Nasze stosunki z Jarkiem są co najwyżej... nazbyt uregulowane, stabilne! To już tyle lat, jakże nagle zerwać to, potargać.

PANI WALA I pomyśleć, że mogłaś być szczęśliwa choćby przez rok.

ZOFIA A potem? Co potem, żyć jak mama? Ja nie potrafię być samotna. Stara jestem. No i Jarek... jak on to przyjmie? Przecież on wszystko od lat robi z myślą o nas. Dla niego nasz dom to coś oczywistego, jakiś stały punkt odniesienia, constans. On może załamać się, wszystko może runąć, kiedy nagle dowie się, że tego domu wcale nie ma, że był to jakiś miraż, złudzenie... Niechże mama mnie nie ponagla.

PANI WALA Aleś ty głupia. Może to twoja ostatnia szansa na szczęście...

ZOFIA Czasami myślę, że tobie wcale nie chodzi o moje szczęście. Chciałabyś się zemścić na Jarosławie, dokuczyć mu. Zawsze go nie znosiłaś, zawsze zmuszałaś mnie, żebym wybierała między nim a tobą. Teraz też chętnie posłużyłabyś się mną, żeby go upokorzyć, a nawet złamać.

PANI WALA Zawsze byłaś głupia i zostaniesz głupia.

ZOFIA I nigdy nie miałam matki.

Scena 5 — Lel i Pol

Na rozdrożu.

W tle pogłos detonacji, syren, karettek.

POL O, słyszałeś? Znowu. To musi być gdzieś niedaleko stąd.

LEL Zawsze jest niedaleko stąd. Mało ci, że mamy podejrzany zawód, że zamknęli nam ten introligatorski interes, w którym i tak już nie było co robić, odkąd zabrakło kleju, nici i tektury.

POL Ja tam zawsze znalazłem jeszcze coś do zrobienia. Lubilem to, wiesz. Przycinanie, klejenie, szycie... i zapach.

LEL Jakie klejenie bez kleju? Zastanów się. Trzeba nam przestawić się na jakiś plastyczny interes, na coś bezpieczniejszego, ja wiem? Jakies zatyczki do uszu czy jak? Nie lubię, kiedy patrzy mi się na palce i myszkuje za bibułą w szufladach, gdzie trzymam dziurawe gacie.

POL Zapach kleju, zapach ciętego, zadrukowanego papieru, zapach farby... Odpowiadała mi ta praca. Bardzo. Czasami coś poczytałem...

LEL Ale to diabła warte, koniec z tym, śmierdzi bibułą i rewizjami. Powiadam ci: zatycki do uszu — oto nasza przyszłość.

Wpada zdyszany Krzyś, cały w popłochu.

KRZYŚ Gonią mnie... pomocy...

LEL Co to, pogotowie ratunkowe jestem? Szukasz wsparcia u kaleki?

Krzyś rzuca w ich stronę zwitek papierów, Pol je podnosi.

KRZYŚ Dla sprawy... ocal przynajmniej to! *(ucieka)*

Pol chowa papiery.

LEL Rzuć to paskudztwo!

POL Lubię papier... powielaczowy zapach...

LEL Oszalałeś! A może to prowok! Masz wyrok z zawieszeniem, idioto.

POL Tsss... są, biegna już tu, udawaj, że nie widziałeś. Przecież musiałem to zrobić.

LEL Ale jeśli teraz Aga nadejdzie... Nie waż się mieszać w to Agi, nie znamy jej.

Trzech młodzików w umownych mundurach.

A Stać, ani kroku, ręce do góry i tak dalej. Przebóg, a to co za poczwara!

C Znam ich, to bracia syjamscy, tutejsi, ludność już się tu do nich przyzwyczaiła. Spieszmy dalej, tamten co wiał, był młody.

A Spokojnie, chwileczkę, niech się przyjrzą, ewentualnie spuścić ręce i tak dalej, spocznij.

B Co za kraj, rety, co krok to przyglup albo dwugłowa poczwara, albo szeregowy, któremu pilno się odznaczyć. Dajże człowieku popatrzeć na ten dziw. Oczy mi łzawią od gazu, muszę ochłonać przez zmienne widoki, mundur noszę, ale duszę mam w cywilu.

A Tyż racja. Okazać dokumenciki waszej niejasnej tożsamości.

B Z aktualną niepodobizną.

LEL Zwiąż nas Lelum-Polelum. Już nas Bóg wystarczająco pokarał, zanim zdążyliśmy cokolwiek nabroić.

B Coraz lepiej, niech skonom. Co za kraj, Bóg wprost z ust im nie schodzi.

POL On jest Lelem, mnie zowią Pol.

B Pędzicie bimber, powielacie bibułę, wciskacie ludziom kit czy słomę makową?

A Warzycie piwo czy kompot?

B Z czego w co celujecie?

A Coście oplwali?

B Czy zagrażacie bezpieczeństwu kraju?

C Im chodzi o to, jaki wasz zawód.

POL Introligator.

LEL Ale bezrobotny. Oto dowód naszej niejasnej tożsamości.

B Jakbym zgadł! A to ptaszki.

A Od razu coś mnie pikło.

B Śmierdzisz, bratku. I ty śmierdzisz. Obaj śmierdzicie wywrotową robotą.

POL Prowadziliśmy zakład, ale chwilowo nam go zamknięto.

LEL By nie zagrażał bezpieczeństwu kraju.

POL Nie wyszydzał i nie poniżał tego stanu.

B Są na to paragrafy, artykuły, preambuły.

LEL Ale w dodatku kleju im zabrakło, jak to u nas, w krzysie.

POL I nici wyszły.

A Znaczy, jednak kontakt z bibułą był.

POL Nie z bibułą, z tekturą. Robiliśmy w okładkach.

LEL Póki nie zawieszono nas w czynnościach. A to przecież nazbyt wielki honor dla takich nędzników jak my, że władza chce nas mieć na oku.

B Niech się zamknie, był pytany? Co to za kraj! Tu informacje rozsiewa się garściami na lewo i prawo, każdy tyle gada i to gada jak najęty, plecie nie pytany, nie na-

gabywany, sypie sam z siebie aż miło, gdzie popadnie: raz do telefonu, raz do konfesjonału, no, można pęć ze śmiechu, kiedy się potem tego posłucha z kontrolnych nagrań, istny kabaret!

A Stan cywilny?

C Co to ma do rzeczy? Tamten wieje, a my tu...

A Szeregowy, stulcie pysk, kiedy ja pytam. A więc?

POL Kawaler.

LEL Żonaty.

A Żonaty! A niech mnie dunder świśnie!

B Tegom się nie spodziewał, co za kraj! On żonaty, a ja...

C Tracimy czas, dowódco patrolu, a tamten zwieje.

B Daleko nie ujdzie. Jemu też oczy łzawią od gazu. I koszulę ma oznakowaną farbowaną wodą z armatki. Tak czy inaczej dopadniemy go.

A I co, zuchy, pokazują was na jarmarku?

POL Ależ panie sierżancie...

A I wy razem tak, z tą jedną kobitką... ha, ha, ha! No, zuchy, przyznać się.

C Powiedz mi, Lelu, nie uciekał kto tędy? Polu, mów, musieliście go widzieć przecież.

POL Szedł Las... o, tam. Przed kwadransem biegł.

LEL Dopiero co. Tam. Jakby tupot słyszałem.

C Kto, znasz?

LEL E, nietutejszy chyba. Biegł.

C Mówilem! Ruszajmy, dowódco patrolu, musi być tuż!

A Co ci tak pilno? Zdążysz odznaczyć się. Nie bój nic.

B Jaki gorliwy. Nie da chwili odsapnąć. Mundur noszę, ale duszę mam w cywilu. I nogi. Też mam w cywilu nogi.

A Na wszystko przyjdzie czas. W drogę panowie. Spójrzmy wpierw wszakże na mapę: my jesteśmy tu, a on tam. Musimy przeto iść tędy i tamtędy. (*wybuch śmiechu*) Kiedy pomyślę, jaki cyrk oni muszą wyprawiać w łóżku...

Śmiejąc się wychodzą, znów myśląc kierunek.

LEL (*wymierza Polowi policzek*) Wiesz za co? Nienawidzę cię! (*placze*)

POL Lelu, ty płaczesz... wybac! Błagam, nie chciałem tego.

LEL Ta twoja konspiracja... kosztem Agi i mnie! Ot, delikacik, „dusza anielska”, patrzcie! Podziwiającie go! Tak opluć nas, tak zohydzić... Czuję się teraz jak zwierz, o to ci szło? Żebym poczuł się jak cuchnący zwierz z jakiejś trywialnej, kosszarowej historyjki. Bo ja mam grubą skórę, he? Mnie nie zabolí taki śmiech, jestem śmieciem zaledwie, ot, „czerep rubaszny”!

POL Lelu...

LEL Czuję się jeszcze pokraczniejszy niż byłem.

POL To głupi ludzie. Zapomnij...

LEL Wolałbym umrzeć!

POL No, zapomnij, już, już...

LEL Wyrzucić wreszcie te świstki! Nigdy bym nie pozwolił im nas lżyć, gdyby nie te przeklęte świstki!

POL Jakże to, wyrzucić, tu? Kiedy już niebezpieczeństwo minęło? Przecież to coś ważnego, ktoś się narażał.

LEL (*wyrywa mu je z rąk*) Ja, ja narażałem siebie i Agę na szyderstwa, urągowisko, a to co: no, w pale się nie mieści, czyjeś wierszyki!

POL Nie drzyj tego, oddaj, co ty!

LEL Masz czelność z powodu takiego papierka nadstawiać łeb, narażać cześć Agi i mój honor? Trzeba być idyotą!

POL (*chowa papierki*) Jednak... pozwól przynajmniej, bym to oddał... choćby profesorowi. On będzie wiedział, co z tym dalej.

- LEL Ostrzegam, że jeśli jeszcze raz wdasz się w coś takiego, pierwszy cię wydam, wysypię i zgnoję!
- POL Wtedy ja zginię w lochu, a ty w nagrodę pojedziesz na Majorkę.
- LEL Nie waż się kpić z tego, że muszę znosić cię u boku, że nie mogę ani chwili bez ciebie być.
- POL Nie mów tak, już niedługo, niedługo...
- LEL Zamilcz, nie strasz mnie. Boże, a tobie co znów!
- POL Nic, nic, zdenerwowałem się, to przejdzie, zaraz...
- AGA Lel, hola panowie, co się dzieje? Te wasze miny, ej, co tu zaszło?
- LEL Gdzie byłaś tak długo?
- AGA Nie słyszysz, co tam się dzieje? Musiałam nadłożyć drogi. Co z tobą, Pol? Mów, co zaszło. Jak dziwnie wyglądasz!
- POL Spieszę się, Ago, nie zatrzymuj mnie, wybaczone. Jestem spóźniony. (z wolna zapada w rodzaj snu czy transu)
- AGA Skoro ci pilno spać, wolna droga.
- POL Tak, znikam moi mili, nie gniewajcie się, ale tak mnie morzy.
- AGA Znów poprzykaliście się? Ale o co?
- LEL O to samo. Jest nas za dużo o jednego. A jednocześnie boję się, żeby nie było o jednego mniej.
- AGA Nie mogę wprost uwierzyć, że już go nie ma, bo „poszedł sobie”, prawda? Jak on to robi? Ilekroć powiada to swoje: znikam — czuję, że naprawdę znika i zostawia nas całkiem samych: niebywałe! Więc powiadasz, że „poszedł sobie”?
- LEL Na to wygląda. W każdym razie ciąży mi jak młyński kamień. Im jest delikatniejszy, tym bardziej mi ciąży.
- AGA Bardzo to dziwne, przyznasz. Ile musiał sobie zadać trudu, żeby nauczyć się wprawiać w taki stan absolutnej nieobecności!
- LEL Tak, wydaje się nieobecny duchem.
- AGA Ależ i ciałem! Można go kłuć, szczypać, szarpać za włosy. A on jak kłoda. Nic nie czuje!
- LEL Jest całkiem odrętwiały, wygląda, jakby stracił czucie.
- AGA Musiał od najwcześniejszych lat wprawiać się w ten stan, żeby ci nie przeszkadzało. Ileż delikatności uczuć mieści się w tym człowieku. Istna „dusza anielska”.
- LEL Tak, wiem, to dusza anielska, ja natomiast jestem straszny prostak, wiesz, ot, taki „czerep rubaszny”. Wielu rzeczy nie pojmuję podobno; mam widać skórę za grubą. Tak i teraz. Co z tego, że on będzie tak spał i spał godzinami? Ja i tak go czuję aż nadto! On uwiera mnie zwłaszcza teraz, kiedy na pozór jest nieobecny, zwłaszcza teraz! Boję się, Ago, boję się, że on umrze w tym ciężkim, gęstym śnie. Że za głęboko wejdzie w ten sen i już nie zdoła wrócić. A co wtedy stanie się ze mną, pomyśl! Jakże to straszne. Przecież on gotów pociągnąć mnie za sobą do grobu!
- AGA Przestań, co też przychodzi ci do głowy!
- Lekko zataczając się wchodzi Las.*
- LAS Strrrruli mnie... perrrrr-ché! Przprszm... odbija mi się.
- AGA Fizyk, jesteś zawiany! Zwiną cię, zmykaj!
- LAS Bimber, wiesz, Lel, wolę bimber od bibuły, choć też śmierdzi, wiesz. Ale duszy nie robi na czarno. Ty, koleś, siedziałeś kiedy? Ale po ciemku czy siedziałeś? I nie wiesz ani która godzina, ani czy to noc czy dzień, świętek czy piątek, wiesz? Taki świat cały na czarno. Nie czarno-biały, cały na czarno. I tylko słuchasz i gubisz się w domysłach.
- LEL Idź lepiej do domu, fizyk, radzę ci. Tędy się kręcą patroli, szukają jakiegoś frajera, zwiną cię dla hecy, oni dla hecy potrafią zdrowo zgnoić takie pokraki jak ja czy ty.
- AGA Tak, tak, lepiej idź do domu, na nas też pora, Lel. W drogę.

Wychodzą. Lel z trudem dźwiga spiącego Pola.

Scena 6 — Echo leśne

Światowid przytrzymuje postępującą z tyłu za braćmi Agę.

AGA Coś ty, ktoś ty, czego chcesz, puszczaj zaraz!

ŚWIATOWID Udajesz, że mnie nie znasz? Jam jest Światowid!

AGA Bądź sobie kim chcesz, mnie nic do tego, puszczaj.

Zmiana światła, W miarę postępowania akcji scena odrealnia się. Pojawiają się Świeciste Złudy, w głębi, w oparach — niczym tabor widmo — snują się ugięte pod brzemieniem ni to broni, ni to głazów. W ich powolny taniec (?) wsącza się uporczywa melodia — ni to jęk, ni śpiew, ni szloch.

ŚWIATOWID (*ostro*) Jesteś Polką!

AGA (*ostro*) Nie. Ślązaczka. Bo co?

ŚWIATOWID Kłamiesz. Śledzę cię od lat. Rdzenna Polka. Żadnej domieszki. Czysta nacja.

AGA Przestań bredzić. Ja z Kaszub. Mazurka z Kołomyi. Może trochę góralka.

ŚWIATOWID Już nie zmylisz mnie. Wiem, kim jesteś... to ty! Oczko w głowie dowódcy naszego oddziału... trzynastoletnia łączniczka... w tamtej puszczy wtedy...

Przyznaj się, że to ty.

AGA Mylisz mnie z kimś. Nie znam cię. Zejdź mi z drogi.

Akcent muzyczny i świetlny.

ŚWIATOWID A jednak przypomnij sobie. To ważne! Przypomnij tamten czerwiec, ostatni czerwiec wojny... ten deszcz i mgłę... Deszcz, mgłę i opary nad bagniskiem puszczy. Niemcy otoczyli nas. Wolno i systematycznie zaciskali pierścien, zaciskali nam na gardle pancerną pięść. Ale jeszcze moglibyśmy się przebić! Rуска partyzantka wywinęła się z oczek ich sieci i wymknęła się na południe. Jednak nasz dowódca, licząc chyba na zbliżający się front, postanowił, że zostanie. Żeby wesprzeć skazane inaczej na zagładę okoliczne wioski rozsiane w puszczy. Nie chciał tamtejszych ludzi zostawić na pastwę rozbestwionych własowców, którzy tam z Niemcem szli ramię w ramię.

AGA Jestem zmęczona, po co to wszystko!

ŚWIATOWID To ty, ty... poznałbym cię na końcu świata, choć miałaś wtedy ledwo trzynaście lat. Oczko w głowie naszego dowódcy, mała łączniczka, dziewczeczka z jasnym warkoczem... Tu, u nasady nosa miałaś lekuchną bliznę. Dziabnąłem cię rydłem, kiedy robiliśmy podkop, a ty z ciekawości tak jakoś nieostroźnie stanęłaś... o, właśnie: nadal jeszcze nosisz to znamię.

AGA Mylisz mnie z kimś. I samego siebie też mylisz.

ŚWIATOWID Kłamiesz! Naumyślnie zwodzisz mnie od lat. Jednak w końcu musisz mi to wyjawić. Pamiętasz... Niemcy zepchnęli nas w głąb. Deszcz padał bez przestanku, nasze wozy grzęzły po osie, nie dało rady jechać nimi nadal. Braliśmy rannych na własne barki. Braliśmy rannych, broń i osprzęt. Braliśmy skąpy, spleśniały prowiant... Szliśmy i szli zapadając się w mazi i grząskich bagnach... szliśmy i szli i szli... dzicy i czarni od błota i od kopcja ognisk... pijani i zrozpaczeni... szliśmy i szli... Padaliśmy i znów podnosiliśmy się, by iść... straszni, straszni...

AGA Tak było... i ja kiedyś szłam... tak właśnie szłam w ścianie lejącego od tygodnia deszczu... ścieżkami, które uciekały spod nóg... rozmazane i rozmiękle błotem i śliską mazią... w odzieży sztywnej i parującej od wilgoci... byleby dalej i dalej... Ale co ja mam z tobą wspólnego dziś... nie! Co łączy mnie z tobą dziś — nic a nie! Lepiej odejść stąd, zamilcz.

ŚWIATOWID Zaczekaj, czekaj... zaraz skończę, ale przypomnij sobie... Dowódca ciężko ranny był w nogę. To on powiedział: zostawcie mnie tutaj...

AGA (*przed siebie*) Był ranny w nogę i w brzuch. Powiedział: Tu mnie zostawcie, to rozkaz. Ratujcie oddział.

ŚWIATOWID A ty powiedziałaś: idźcie, zostaną przy nim, sprowadźcie pomoc. Płakaliśmy odchodząc. I zostałaś przy nim sama. Nasza mała łączniczka. W środku puszczy wśród bagien, z Niemcem postępującym w głąb i z tą dziką hordą własowców...

AGA On miał pistolet. Pistolet i dwie kule, tylko dwie, bo trzeba było oszczędzać amunicji. I jedną z tych kul miał dla mnie. Szkoda, że jej nie użył. Wcale nie bałam się wtedy, że zabije mnie na wypadek, gdyby nadeszli własowcy. Wołałabym, żeby mnie zabił wtedy. Ale miałam trzynaście lat... bałam się raczej tego, że on po prostu umrze, zanim nadejdzie pomoc, a ja całkiem sama zostanę w tym młazszczącym błocie, wsłuchując się w nieistniejące stapania i sapania, pośród irracjonalnych przypuszczeń...

ŚWIATOWID Było ich trzech? To ustalone, nie przecz. Czarni, dzicy i pijani... czy tak? Więc cię na jego oczach... Mów coś... to nie byli przecież własowcy, oni nigdy nie dotarli do miejsca, w którym leżał dowódca. Kiedyśmy potem wjechali furką po niego, on z tą czarną, napuchniętą jak tobół nogą leżał już sztywny, a ty spłakana, nadal spędzałaś witką z paproci muchy z tej jego nogi. I na nasz widok krzyczałaś, tak okropnie krzyczałaś, nie poznając nikogo i chciałaś uciekać w las... Czemu nie strzelił wtedy do ciebie, ani do siebie, jakże to, on nie zmarł wtedy od rany, jak stwierdził lekarz, tylko na serce. On! Na atak serca! Więc kto to był, mówże w końcu, kto...

AGA Idź precz straszdyldo-płoszyldo, zgiń przepadnij, oblepicho przebrzydła, szeźnij zmoro, poczwaro senna... kto cię tu prosił, kto!

ŚWIATOWID Żydki? Może jakieś ukrywające się tam w ziemiłankach Żydki?

AGA Dobrze wiesz kto. Czemu pytasz!

ŚWIATOWID Kłamiesz, nieprawda, kłamiesz! (*uciekając płacząc*)

Świetliste Żłudy rozpraszają się.

Scena 7 — Domowy spektakl

W mieszkaniu Profesora. Parę osób już się usadowiło, resztę rozlokowuje — w miarę ich napływania na ten domowy spektakl — Zofia. Właśnie wchodzi Lel, wlokąc śpiącego Pola, i Aga.

ZOFIA Tam, Ago, co? Może usadź ich tam? (*odciąga ją na bok*) Musimy pogadać... ale co tobie, jak ty wyglądasz, na Boga! Idź do mego pokoju, zrób jakiś makijaż bodaj. Kosmetyki są przed lustrem.

AGA A ty popraw sobie majtki. I dykcję.

ZOFIA Tsss... o, ksiądz. Pozwoli ksiądz tu? Proszę tu.

PROFESOR Zanim wszyscy się zejdą i przystąpimy do wysłuchania tych paru listów Bułhakowa, pozwólcie, kochani, że przypomnę wam, jak należy zachować się w razie wpadki.

GŁOS Z GŁĘBI Niechże nas pan nie straszy, profesorze.

ZOFIA Już to znamy, Jarku. Te zasady... daruj sobie.

PROFESOR Ale tu są nowi goście, Zosiu. Otóż inteligencję naszą, proszę was, gubi dobre wychowanie, tak, tak. Robotnik nie bawi się w czasie przesłuchań w podtrzymywanie salonowej konwersacji, proszę mi wierzyć, tylko w odpowiedzi na pytanie o zdrowko cioci, wali: odtenteguj się, w grubszych słowach, rzecz jasna. A my?

Wkracza Hania ze świętą nieobecnego Laureata; zachowuje się teatralnie, niby nie chce przeszkadzać, ale jednocześnie stara się, by ją zauważono. Wręcza Zofii po-każny bukiet.

HANIA (*scenicznym szeptem*) Nie, proszę sobie nie przeszkadzać, poradzimy sobie

jakoś. Proszę, to od Laureata; sam nie mógł, niestety, ale wszystko mu opowiem!

ZOFIA O, dzięki, piękne kwiaty. Może tam, panno Haniu?

HANIA (*do świty Laureata*) Peu de spectacles valent la peine qu'on aille les voir...

Noszewi Laureata wyciągają sportowe gāzety i pogrążają się w natychmiastowej lekturze.

PROFESOR Natomiast my na pytanie o wujaszka zwykliśmy odpowiadać pełnym zdaniem i jeszcze przekazywać ukłony. I pozwalamy się wpuszczać w czcze dywagacje o pogodzie. Czyż nie?

Wraca Aga, przystaje z Zofią na uboczu, dołącza do nich Iza.

PROFESOR Tymczasem chodzi o to, żeby w sytuacjach tego rodzaju trzymać się ściśle tematu i własnej roli. Jest to coś takiego, jak — powiedzmy — licytacja w brydżu.

IZA (*na uboczu*) Trochę pospieraliśmy się.

ZOFIA Domyślam się.

AGA To zresztą było do przewidzenia. Z profesora taki pewniaczek, wybacz, Zosiu.

IZA Chyba nawet zbyttnio się uniosłam, ale wiesz...

PROFESOR (*ciągnie dalej*) Jest to pewna konwencja, są określone „odzywki”, że tak powiem...

AGA Po co to mówić. Wszyscy wiedzą, znają na pamięć...

PROFESOR I równie rutynowe odpowiedzi, co i pytania.

ZOFIA Jemu wydaje się, że oni t a m wszystko wiedzą lepiej od nas.

PROFESOR Podobnie jak w kartach, kiedy zgłasza się kolor, względnie bez atu. Kiedy się pasuje i tak dalej... rozumiemy się?

IZA Bo był to istotnie autentyczny boom na naszą literaturę w świecie, można było to wygrać, zwłaszcza że nie tylko polityczny moment sprzyjał, był jakoś już przetarty szlak. Ale zawsze to podmienianie wartości, tu i tam, z obu stron! Zawsze ta krótkonoga taktyka skreśleń i przemilczeń, w których celuje wręcz nasza krytyka — i to równo, po obu stronach!

ZOFIA I ten punktualny, ruchliwy trzeci i piąty garnitur — zawsze pierwszy na mecie!

IZA Jakże łatwo i lekko wbiega się na scenę Europy na tych wysokich obcasach polityki... na szcudłach, które same wprost niosą!

ZOFIA Na wrotkach chwili... Ale utrzymać to zainteresowanie...

AGA Wy to macie problemy, pozazdrościć! (*demonstracyjnie odchodzi*)

IZA Zosiu, z tobą coś nie tak? Już powiedziałaś mu o Władku?

ZOFIA To nie takie proste... sama jeszcze nie wiem, co zrobić. Ale spójrz na Agę, wiesz? (*szeptem Izie coś na ucho, ta wzdraga się, potrząsają strapione głowami. Zofia przyłącza się do gości*)

ZOFIA O, pan Iz... tu jeszcze jedno miejsce, proszę tutaj.

PROFESOR Po pierwsze domagać się określenia, czy jest się wezwanym w charakterze świadka, czy oskarżonego, i...

GŁOSY Wiemy, wiemy.

LEL (*do Agi*) A mówiłaś, że tu nie będzie dziś żadnej polityki!

AGA Co to za polityka... daj spokój.

PROFESOR I wcale nie musi się odpowiadać na każde pytanie.

GŁOSY (*niecierpliwie*) Ależ wiemy, wiemy!

PROFESOR Jednakże... są tu nowi...

GŁOSY Nowi? Po tylu latach jeszcze są jacyś „nowi”

ZOFIA Już nikt więcej chyba nie przyjdzie... więc zaczynamy? Tak, proszę państwa.

Dzisiaj słuchamy listów Bułhakowa do Stalina.

Światło punktowe rozjaśnia tę część sceny, na której pojawiają się na podium Luba pisząca pod dyktando Bułhakowa list, jej przyjaciółka Wiera i sam Bułhakow.

LUBA (*do Wiery*) Jak tylko usłyszałam, że dzwonią z K.C., przywołałam Michała, a

on taki zły bierze słuchawkę, myśląc, że to kawał. Tymczasem mówią mu, że będzie z nim rozmawiał sam towarzysz Stalin...

WIERA Niemożliwe!

LUBA Ależ tak, tak było! I rzeczywiście Stalin powiada do niego: dzień dobry towarzyszu Bułhakow.

WIERA A on?

LUBA No, też mówi: dzień dobry. A Stalin wtedy: otrzymaliśmy pański list, czytaliśmy go z towarzyszami. Odpowiedź będzie pozytywna. Zaraz, kiedy to było? Jakos pod koniec kwietnia... w 1930 roku. W każdym razie Stalin pyta Michała: Może rzeczywiście chce pan wyjechać za granicę? Tak bardzo naprzykrzyliśmy się panu? A Michał trochę się zmieszał i dopiero po chwili rzekł: Dużo ostatnio myślałem nad tym, czy pisarz rosyjski może istnieć poza ojczyzną. Wydaje mi się, że nie może. A Stalin na to: Ja też tak myślę. No i załatwił mu pracę, ale choć przyjęli go wtedy do MCHATu na stanowisko reżysera, ani jednej linijki nie opublikowano mu, ani żadna z jego sztuk...

Wchodzi Bułhakow.

WIERA To ja znikam... nie przeszkadzam.

BULHAKOW Na czym skończyliśmy, Luboczka?

LUBA Już, już... chwileczkę... (*do Wiery*) Wpadnij wieczorem, co?

WIERA Tymczasem! (*wychodzi*)

BULHAKOW Bierzmy się do roboty... Na czym stanęliśmy?

LUBA (*czyta na głos*) Walka z cenzurą, jakakolwiek byłaby ta cenzura i w jakimkolwiek ustroju by istniała jest moim pisarskim obowiązkiem, podobnie jak wołanie o wolność prasy.*

BULHAKOW ... o wolność prasy. Jestem gorącym zwolennikiem takiej wolności...

Zmiana światła.

BULHAKOW ...i przypuszczam, że gdyby któryś z pisarzy zechciał udowodniać, że taka wolność jest mu niepotrzebna, upodobniłby się do ryby, która publicznie oświadcza, że obejdzie się bez wody. Gdzie masz ten cytat z Gogola, Luboczka?

LUBA Przeczytać ci?

BULHAKOW Taak... może damy go jako motto.

LUBA „Z biegiem czasu coraz bardziej umacniało się we mnie pragnienie pisania o współczesności” — o ten ci chodzi?

BULHAKOW Chyba tak... co tam dalej?

LUBA „Ale jednocześnie widziałem, że opisując współczesność nie sposób pozostać w tym podniosłym i spokojnym stanie ducha, który konieczny jest dla wykonania poważnej i harmonijnej pracy”.

BULHAKOW I jeszcze dalej...

LUBA „Współczesność jest zbyt żywa; zbyt drażni i porusza — pióro pisarza niezauważalnie przechodzi na satyrę”.

BULHAKOW Ten Gogol... czy teraz jest coś o konieczności „wychowania się z dala od ojczyzny” w imię służenia jej?

LUBA Tak... teraz właśnie: ... „Wyjeżdżam wcale nie po to, by cieszyć oko widokami obcych ziem, lecz po to raczej, by cierpieć — jakbym przeczuwał, że poznam cenę Rosji tylko poza Rosją i że miłość do niej zdobędę z dala od niej”.

Światło pada teraz na Profesora i zasłuchaną Izę, którzy w tym momencie wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

BULHAKOW Tak, to damy jako motto... A teraz pisz: Proszę Pana gorąco, Iosifie Wissarionowiczu, aby poparł Pan moją prośbę... o wysłanie mnie na urlop zagraniczny od 1 lipca do 1 października 1931 roku.

* Fragmenty listów Bułhakowa publikowanych w naszej prasie. Tu w przekładzie Ireny Lewandowskiej. Por. *Dialog* nr 10/1987. (Red.)

Od końca 1930 roku cierpię na ciężką formę neurastenii, której towarzyszą napady lęku i ucisk serca — obecnie jestem człowiekiem wykończonym.

Mam plany, ale brak mi sił fizycznych, warunków zaś, aby plany te realizować, nie mam dosłownie żadnych.

KSIĄDZ (*do Izy scenicznym szeptem*) Nihil novi, pani Izo.

BULHAKOW Przyczyny choroby są mi świetnie znane. Na szerokim polu rosyjskiej literatury pięknej w ZSRR byłem jednym jedynym wilkiem literackim. Radzono mi, abym przefarbował skórę. Bezsensowna rada! Farbowany wilk, ostrzyżony wilk i tak nie upodobni się do pudła.

Oklaski salonu.

BULHAKOW Toteż i traktowano mnie jak wilka. I przez kilka lat szczuto w ogrodzonym wybiegu, według wszelkich zasad literackiej nagonki. Nie czuję złości, ale jestem ogromnie zmęczony, a pod koniec roku 1929 padłem. Przecież nawet zwierzę może się zmęczyć. Przyczyną mojej choroby jest wieloletnia nagonka, a następnie milczenie. Odczucia moje są jednostajne, pomysły osnute czernią, a ja zatruty smutkiem i zastarzałą ironią.

LUBA A ja zatruty smutkiem i zastarzałą ironią.

BULHAKOW ... przekonywali mnie i przekonali... że przenigdy, do końca życia nie zobaczę obcych krajów. Jeśli tak jest — to znaczy, że zasłonięto mi horyzont, odebrano szanse nauki w szkole dla pisarza najważniejszej, pozbawiono możliwości rozwiązania najistotniejszych dla mnie problemów. Że wszczepiono mi psychologię więźnia.

Znów światło omiatające twarz Izy i Profesora.

BULHAKOW Jak mam opiewać mój kraj...

LUBA I oni ośmielają się mówić, że „taki Bułhakow nie jest potrzebny radzieckiemu teatrowi”.

BULHAKOW Nie wiem, czy jestem potrzebny radzieckiemu teatrowi, ale mnie teatr radziecki potrzebny jest jak powietrze. Piszmy dalej: Proszę Rząd ZSRR, aby wypuścił mnie do jesieni i zezwolił, aby również żona moja, Lubow Jewgieniewna Bułhakowa, mogła mi towarzyszyć. Musi mi towarzyszyć bliski człowiek. W samotności miewam napady lęku.

Zmiana światła, akcent sugerujący upływ czasu.

BULHAKOW Pozwoli Pan, Wielce Szanowny Iosifie Wissarionowiczu, że opiszę Panu, co się ze mną wydarzyło.

Kiedy złożyłem podanie o wyjazd, zacząłem czekać na jedno z dwojga, na zgodę lub na odmowę, uważając, że cokolwiek trzeciego jest niemożliwe. Jednak zaszło coś, czego nie przewidziałem — to trzecie. 17 maja zadzwonił telefon: — Czy składał pan podanie o wyjazd za granicę? — Tak. — Proszę przyjść do Wydziału Zagranicznego... i wypełnić ankiety pana i pańskiej żony. — Kiedy? — Jak najszybciej, ponieważ pańska sprawa będzie omawiana 21 lub 22 maja. Wypełniłem obydwie ankiety, urzędnik je odebrał, a potem powiedział dosłownie co następuje: — Paszporty otrzymacie państwo bardzo prędko, ponieważ w waszej sprawie jest już polecenie. Moglibyście otrzymać je nawet dzisiaj, ale jest już późno. Proszę zadzwonić do mnie osiemnastego rano. Powiedziałem: — Osiemnastego jest dzień wolny od pracy. Wtedy odpowiedział: — No, to dziewiętnastego. 19 maja rano w odpowiedzi na nasz telefon powiedziano tak: — Paszportów jeszcze nie ma. Proszę zadzwonić pod koniec dnia. ... Pod koniec dnia okazało się, że paszportów nie ma i zaproponowano nam, abyśmy się dowiadywali dwudziestego trzeciego. 23 maja poszedłem wraz z żoną osobiście, po czym dowiedziałem się, że paszportów nie ma. Urzędnik natychmiast zaczął telefonować w tej sprawie, a następnie poradził, żebyśmy zadzwonili 25 lub 27 maja.

IZA (*szeptem*) Wciąż ten sam scenariusz.

BULHAKOW Niedługo pojawiło się jeszcze jedno potwierdzenie, że jest zgoda w

mojej sprawie. Gratulowano mi, że spełniło się moje wieloletnie marzenie, marzenie o podróży niezbędnej każdemu pisarzowi.

7 czerwca goniec Teatru Artystycznego pojechał do Wydziału z listą aktorów, którzy mieli otrzymać paszporty. Teatr uprzejmie wpisał na tę listę mnie i moją żonę... Tego samego dnia goniec wrócił i już po jego zmieszanej i speszonej minie domyśliłem się, że coś zaszło. Oznajmił, że wydano mu paszporty dla aktorów... natomiast ja i moja żona otrzymaliśmy ODMOWĘ... Aby nie wysłuchiwać wyrazów współczucia, zdumienia i tak dalej, wróciłem do domu rozumiejąc tylko jedno — oto znalazłem się w sytuacji przykrej, śmiesznej, która nie przystoi człowiekowi w moim wieku. Krzywdą, jaką mi wyrządzono jest tym poważniejsza...

Nagle wtargnięcie na scenę paru Osób Urzędowych.

OSOBA URZĘDOWA Proszę natychmiast zapalić światło.

Zmiana światel.

OSOBA URZĘDOWA Proszę nie opuszczać miejsc, podaję komunikat: Na podstawie zarządzenia tutejszych władz, na podstawie stosownych paragrafów i tak dalej... uznaje się niniejsze zgromadzenie za nielegalne i wzywa się zebranych do natychmiastowego rozejścia się.

MUNDUROWY Proszę pozostać na miejscach, nie ruszać się. Jesteście wszyscy zatrzymani do stosownych wyjaśnień, przygotować dokumenty, nikt nie ma prawa samowolnie opuścić terenu tego pomieszczenia.

GŁOS Z SALI To w końcu jak: siedzieć czy wyjść!

MUNDUROWY (*niepewnie*) Można chodźć... ale nie wolno opuszczać budynku.

PROFESOR Wszyscy zapudłowani, ha, ha, ha!

IZA Mówił pan, że studiowali Pawłowa. Ale i Bułhakowa też!

PROFESOR Jego akta? Z pewnością. Ha, ha, ha!

LEL Gdzie nas przyprowadziłaś...

AGA Ależ głupstwo, jest się czym przejmować.

HANIA A Laureat przeczuwał.

PROFESOR I co, księżo Józefie, zabawne, co?

MIECIU (*wysuwa się zza Osób Urzędowych*) Nie śmiałyby się tak. Na pana miejscu? Wszyscy ustawiają się w kolejce przy naprędcie podsuniętym biurku, wyciągają wody, ktoś za biurkiem sprawdza, notuje.

PROFESOR (*do Miecia*) Dlaczego nie miałbym się śmiać? Przecież to zabawne!

KSIĄDZ Będzie miał pan co opowiadać, ha, ha, ha!

MIECIU (*posepnie*) Okaże się.

MUNDUROWY Bez sztuczek, proszę państwa, wejścia są obstawione.

Niektórzy z zebranych wyraźnie przestraszeni. Aktor grający Bułhakowa wyciąga jakiś notes, staje z boku twarzą do widowni i zaczyna ukradkiem wrywać kartki z notesu, wkłada je do ust i wolno żuje. Aga zbliża się do niego.

AGA Mógłby mnie pan poczęstować? Też jestem zdenerwowana, to może mnie uspokoić.

MUNDUROWY Nie porozumiewać się.

GŁOSY SALONU To co, rozmawiać nie wolno? Co jest!

W fotelu na kółkach wjeżdża pani Wala.

PANI WALA No, już po drzemce. A gdzie mój tort? Gdzie tort?

GŁOSY-SZEPTY O, pani Wala...

PANI WALA No więc tu są, widzę, kwiaty od Laureata. On zawsze taki szarmancki, pamiętał o urodzinach starej. A tort? Czyżbyście już zjedli mój tort? Co robią ci, nie przypominam sobie, żebym... zapraszała? Czy to oficjalna delegacja, pytam, z gratulacjami od władz? Trzeba było wpierw spytać, czy przyjmę.

ZOFIA Jesteśmy zapudłowani, mamó.

GŁOSY Nielegalne zgromadzenie!

PANI WALA Mój jubileusz? To ma być nielegalne?

OSOBY URZĘDOWE (*zbite z tropu*) Jubileusz? Jakże to... urodziny pani Wali?

MIECIU Proszę prowadzić czynności urzędowe.

PROFESOR Ha, ha, ha!

MIECIU Nie śmiałbym się na pana miejscu. Pański paszporcik?

PROFESOR Nie słyszał pan, że to urodziny pani Wali? Jubileusz!

MIECIU (*ponuro*) Sprawdzi się, w odpowiednim czasie.

PANI WALA Niby co, synku, sprawdzisz... że w 1916 roku latem pierwszy raz stanęłam na barykadzie? Jako piętnastoletnia panienka?

MIECIU Jeszcze się okaże.

PROFESOR Ha, ha, ha, nie znałem mamy od tej strony. Coś wspaniałego!

KSIĄDZ Co za przytomność umysłu, pogratulować, taa...

MIECIU Jubileusz, jubileusz... każdy może powiedzieć.

PANI WALA Oj, nie każdy, synku. Dopiero kiedy się ma moje lata, co w tym wieku nam pozostaje? Każdy dzień przypomina się... sprzed ćwierćwiecza, półwiecza... ba, sprzed lat osiemdziesięciu! Taak... teraz co mam z życia poza tymi wspominkami? Wy co chwilę przypominacie, jak zdobywaliście Berlin. Ci polecieci na księżyc, a wy zdobywacie Berlin. Tamci wrócili z Marsa, a wy zdobywacie Berlin. Ci produkują jakieś Concordy i Toyoty, a wy wciąż zdobywacie ten Berlin, zdobywacie i zdobywacie. Alboż nie tak? No więc ja też mam na tę aktualność jakiś własny jubileusz.

PAN IŻ Brawo, pani Walu, serdeczne gratulacje, z głębi serca, od dziadygi ze starego portfela przyjąć proszę iż, iż...

HANIA Tak, brawo, brawo!

Wszyscy biją brawo.

PROFESOR (*do Miecia*) I cóż? Nietęgą minę będzie pan miał? Nazbyt się pan pokwapił, co?

MIECIU Znamy takie numery, sprawdzimy.

PANI WALA Mnie po tym czyści, synku, rozumiesz?

LEL Pol, co z tobą, Pol!

AGA Dlaczego krzyczysz.

LEL Patrz, chodź, zrób coś... Ludzie, on umiera! Pol!

KTOŚ Histeria.

PANI WALA Nie słyszysz, człowieku? Ktoś tu umiera. Głuchyś!

MUNDUROWY Symulant.

OSoba URZĘDOWA Dajcie mu wody, pewno się spietrał.

LEL Pomocy, ludzie, on umiera, Pol, Pol!

AGA Odsuńcie się. Pol, co z tobą, no? Proszę natychmiast wezwać pomoc lekarską!

POL (*szeptem*) Nie, już nie... zawsze wiedziałem... to koniec, Lel, nie płacz... to koniec...

ZOFIA Pogotowie! Zadzwońcie natychmiast po...

OSoba URZĘDOWA Natychmiast... jakie natychmiast? Zanim przyjedzie, zanim tu kto... Poszedł już który dzwonić?

MUNDUROWY Dzwoni, dzwoni...

LEL Ludzie, ratujcie go. Pol, nie możesz mi tego zrobić, tylko nie to, błagam.

PROFESOR Istotnie, kiepsko to wygląda.

KSIĄDZ W Bogu wszakże nadzieja, że...

MUNDUROWY I co z tym pogotowiem, jadą czy nie? Mówi, że tak, że jadą; ba, ale kiedy dojadą...

IZA Lekarza wezwano, cierpliwości.

LEL Ale nie możesz mi tego zrobić, Pol, pomyśl, co ze mną będzie, no, co się ze mną stanie. Oni zabijają mnie, Pol, ja nie chcę teraz umierać.

PROFESOR (*szeptem do Księdza*) Nie rozumie? Że tylko w ten sposób może odzyskać wolność? Zostać normalnym człowiekiem?

KSIĄDZ Myśli pan? Bo nie znam się na tym.

AGA Pol, nie odchodź jeszcze, mógłbyś poczekać na mnie, raźniej będzie.

LEL Nie słyszy, on już nic nie słyszy, Pol! Ludzie, dajcie mu coś, zróbcie coś dla niego bodaj raz. Co on miał od życia, co miał ładnego, nic! Pol... Nie możesz tak odejść z niczym... od tego parszywego życia odejść... Pocałuj go, Aga, co? Pocałuj go... on przecież nigdy nie ładnego od życia... nigdy nic...

KSIĄDZ Miejmy wszakże w Bogu nadzieję...

LEL W jakim Bogu, w którym, i gdzież ten Bóg!

ZOFIA Wyproście gapiów. Naszło ich tylu w oknach i w drzwiach.

PANI WALA Ludzie, odsuńcie się od niego... co z was za ludzie. Przenieśmy go... ich...

PROFESOR Może na łóżko Lusi, tu obok, co?

PANI WALA Bo jakże tak na obcych oczach...

ZOFIA Zanim przyjedzie lekarz...

PANI WALA W takiej poważnej chwili... na obcych oczach...

Wyprowadzają Lela i Pola. Aga wychodzi z nimi.

MUNDUROWY Do diabła, chyba nas się aż tak nie wystraszył.

PROFESOR (wraca) Lel powiada, że od pewnego czasu, od jakiegoś miesiąca, działo się z Polem coś dziwnego.

GŁOS ZZA OKNA Wiadomo: po Czarnobylu...

GŁOS ZZA DRZWI Pewnikiem braciszek go struł.

DRUGI GŁOS ZZA OKNA Tak, o żoneczkę mu szło, zazdrosny był.

GŁOS TRZECI Chciał się uwolnić, poczwara.

MUNDUROWY Ludzie, odsuńcie się, przestańcie pieprzyć, jak Boga kocham.

HANIA (do Izy) Więc pani zdaniem Lela nie da się uratować?

IZA Chyba przeciwnie, chyba dopiero teraz, kosztem śmierci tego drugiego...

ZOFIA I tak ta subtelniejsza, ta piękniejsza, bardziej uduchowiona część naszego Lelum-Polelum odchodzi, zamiera na naszych oczach „dusza anielska”.

IZA Zostanie „czerep rubaszny”... Lel; już nie jako poczwara, nie jako monstrum; ciekawe, jak on to przeżyje? Co zrobi z tego?

ZOFIA Kiedy także Agi mu zabraknie.

HANIA On się martwi, że Pol pociągnie go za sobą do grobu, panicznie tego się boi!

IZA Właściwie ktoś mu to powinien oznajmić, uspokoić go, że nie powinien.

KSIĄDZ Teraz? Nie uchodzi. Jednak pójdę z pociechą, pomodłę się.

PANI WALA I gdzież ta pomoc, gdzie lekarz!

MIECIU Proszę kontynuować czynności.

PROFESOR Chyba oszalał pan. Teraz!

MIECIU Boimy się o paszporcik? I słusznie. Trzeba się było wpierw zastanowić, zanim...

PROFESOR To się okaże. Słyszał pan przecież, zgromadziliśmy się na jubileusz mamy. Zresztą nikt poważny nie zechce się kompromitować przed światem z powodu pańskiej nadgorliwości.

MIECIU Pilno panu jechać. I nie tylko panu, temu szczygielkowi, który lubi ćwierkać w alkwie, pańskiej małżonki, też pilno, żeby pan wreszcie jechał.

PROFESOR (chwytając go za kłapy) Ty draniu!

ZOFIA Nie daj się sprowokować, Jarku, Jarku!

MIECIU Jeszcze i to. Czynna napaść na urzędnika pełniącego obowiązki. Ale rozumieć wzburzenie, może nawet nie wyciągnę konsekwencji.

PROFESOR Ty mendo...

ZOFIA Uspokój się, przecież chce cię sprowokować, uspokój się, chodź.

MIECIU Jeśli ciekaw pan dowodów, znajdują się jakieś zdjęcia, taśmy...

PROFESOR Puść mnie. Co on bredzi, co to znaczy!

ZOFIA Nie teraz, nie tak... Nie przy nim!

PROFESOR Zabiorę cię stąd. Stanowczo, zaraz jutro jedziemy, dość!

MIECIU To się okaże. Ten paszporcik...

PROFESOR Nikt nie zechce się kompromitować przed światem... Nikt poważny! Z powodu pańskiej nadgorliwości. Strąca pana z siebie jak wesz. I zdepczą. Już pan wykonał to zadanie. Tę brudną robotę już pan wykonał. Żal mi pana. Miał pan taką dobrą posadę. Nigdy już pan nie będzie miał lepszej. Nie te czasy, wie pan. A na mnie czekają! Dziesięć uniwersytetów w świecie czeka na moje wykłady. To pan powinien się być zastanowić, do czego to pana doprowadzi, ta lokajska usłużność, ta niska, podła ingerencja w prywatne sprawy. Jest pan skończony, skończony! (zakrywa twarz)

Zofia ujmując go pod ramię, wychodzą wzajem podtrzymując się.

MIECIU To się jeszcze okaże. Zobaczmy.

PAN IŻ O, pogotowie. Nareszcie lekarz, jakaś pomoc, tędy, tędy, iż...

AKTOR GRAJĄCY BUŁHAKOWĄ Wszyscy jesteście chorzy. Każdy z nas potrzebuje pilnie pomocy.

PANI WALA Zaslugujecie na to, co was tu spotkało dzisiaj... wszystkich! Wszyscy na to właśnie, tylko na tyle zasługujecie — ja też. Cośmy zrobili ze swego życia, pytam: no co?

IZA M y?

Chwila „wstrzymanego oddechu” przerwana niespodziewanym parsknięciem śmiechu jednego z „noszowych” Laureata, który pochłonięty był cały czas lekturą sportowej gazety.

NOSZOWY No, posłuchajcie, co pisze Zdzisio. „Nie chcą być reprezentantami Polski i opuszczają ekipy bez pożegnania, nawet wykradając trenerom paszporty. Ciężarowiec Piekorz zamiast wrócić po mistrzostwach Europy z Reims do kraju udał się do RFN; bokser Dyla, koszykarz Sender, piłkarz Lubański — żaden z nich nie kwapi się z powrotem do kraju, brydżysta fmshps oraz judoc hfnmps — ... usiłowali przemycić kawior...”

Głos jego powoli rozmazuje się, gasną światła, kurtyna.

Koniec

lipiec — wrzesień 1987